Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 6. Lipca 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 23.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Angiji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

O BAJRONIZMIE W POEZJI POLSKIEJ.

STUDJUM LITERACKIE

napisał
Józef Tretiak.

Jeżeli czytamy którego choćby z najlepszych poetów naszych z końca XVIII wieku i zaraz potem weźmiemy do ręki jednego z koryfeuszów naszej poezji romantycznej, to zdaje się nam, żeśmy się w zupełnie nowy świat przenieśli, żeśmy się o całe wieki posunęli wstecz, czy naprzód, choć w rzeczywistości różnica w czasie między pierwszymi a drugimi jest tak mała, że ledwie wystarcza na ramy dla jednego pokolenia. Wrażenie, jakiego doznaje czytelnik, przenosząc myśl i uwagę od tworów naszej pseudoklasycznej poezji do tworów romantyzmu, da się porównać chyba z wrażeniem podróżnika, który z monotonnej, piaszczystej równiny, bez drzew na ziemi i bez obłoków na niebie, odrazu wjeżdża w kraj ożywiony mnóstwem zielonych wzgórzów, skał i dolin ze srebrnymi wstęgami wód, gdzie na każdym kroku odkrywają mu się nowe malownicze widoki, gdzie oko jego plątając się w tem bogactwie i zewsząd nęcone nowymi szczegółami, samo nie wie gdzie się ma zatrzymać.

Przyczyną tego nadzwyczajnego bogactwa jest obfitość różnorodnych prądów, które na początku obecnego stulecia uderzyły na ducha naszego i tak silnie nim wstrząsły, tyle w krótkim czasie dokonały w nim przeobrażeń, iż nagle z takiej poczwarki, jaką była nasza pseudo-klasyczna poezja, mógł wylecieć świetny motyl romantyzmu.

Dotychczas historycy literatury, dając całemu nowemu zwrotowi literatury, jaki się dokonał w naszej literaturze w trzecim dziesiątku dzisiejszego stulecia nazwę romantycznego, nie zadawali sobie pracy nad rozróżnieniem składowych prądów nowego zwrotu i wszystko jest u nich nakryte ogólną nazwą romantyzmu. Tymczasem, właściwie rzecz biorąc, romantyzm, to jest zwrot do poezji ludowej, do tradycji średniowiecznych, do legendowego kolorytu, był tylko jednym ze składowych żywiołów nowej poezji, która obok niego posiadała wiele innych, równie silnych prądów nie dających się bynajmniej podciągnąć pod ogólną nazwę romantyzmu. Prawda, że te prądy często się krzyżowały z sobą, mięszały, splatały tak, że czasem trudno je oddzielić od siebie i wyosobnić, nie mniej przeto mają one życie osobne, bo z rozmaitych źrodeł wytryskują, a pod względem siły bynajmniej nie ustępują prądowi ściśle-romantycznemu.

Żeby poprzeć to twierdzenie, dość jest wymienić prąd patrjotyczny, który jest czemś zupełnie odrębnem od romantyzmu, a który będąc owocem tragicznych kolei narodu w końcu XVIII wieku, a jeszcze bardziej owocem nieszczęśliwych usiłowań 1831 roku, ujmował w swe ramiona i użyźniał niemal całą naszą poezję z ostatniego piędziesięciolecia i daleko wyraźniejsze wycisnął na niej piętno, aniżeli sam romantyzm. Najwspanialsze dzieło naszej poezji wszelkich wieków, Pan Tadeusz, w którem poeta zupełnie już wolny od odurzenia romantycznego umie się na jednostronność romantyzmu, wcieloną w postać hrabiego, z humorystycznego zapatrywać stanowiska, dzieło to od początku do końca jest przejęte prądem patrjotycznym. W innych znakomitszych utworach poetycznych tej epoki prąd patrjotyczny występuje wespół z romantycznym lub innymi prądami, ale nigdzie nie da się zagłuszyć, wszędzie grzmiąc silnie, świadczy o swojej udzielności. Przykładów pełno i aż się proszą pod pióro; takim jest Konrad Wallenrod, takim jest Kordjan, Irydion, itd. itd. Każdy z łatwością potrafi ten szereg sam dalej poprowadzić.

Obok romantycznego i patrjotycznego występuje dalej prąd mistyczny, który jakkolwiek ściśle jest zespolony z kierunkiem patrjotycznym i prawie się nie pojawia bez tego ostatniego, w istocie jednak swojej różnym jest od niego i musi być zatem wyosobniony. Prądowi temu zawdzięczamy całą naszą tak zwaną mesjaniczną poezją, do której należy większa część utworów Krasińskiego, jakoteż utwory innych wielkich poetów opętanych towianizmem.

Nareszcie, pomijając inne słabiej pulsujące prądy, jak naprzykład społeczny, sławianofilski, znajdujemy jeszcze prąd jeden, zupełnie różny od poprzednich, niektorym z nich nawet djametralnie przeciwny, a który grzmiącą kaskadą spłynąwszy na niwę naszej poezji, nie mało ją użyźnił, a jeżeli z tej użyźnionej niwy, obok pięknych kwiatów, wywołał wiele bujnych chwastów, które do dziś jeszcze potrosze się krzewią, to za to nadał wiele malowniczości jej krajobrazem, a co najważniejsza otworzył dalsze horyzonty po za ciaśniejszemi granicami innych prądów. Tym prądem był bajronizm.

I.

Żaden może z poetów nie przeszedł z takim poetycznym blaskiem i szelestem przez życie, jak Byron. Wysoki ród, piękność, odwaga granicząca z szaleństwem, hojność bez miary, ciągła walka z ludźmi i z panującym u góry prądem opinji, tysiączne przygody miłosne, wreszcie śmierć nagła w kwiecie wieku, w chwili gdy zerwał się, aby do wieńców poetyckich, dołączyć wieniec bohaterski, wszystko to olśniewało współczesnych a i dziś jeszcze olśniewa czytających jego biografję. Dlatego, chcąc zrozumieć wpływ bajronizmu, chcąc wyjaśnić sobie tę nadzwyczajną siłę, z jaką się bajronizm, niby uragan, rozniósł po całej Europie i oparł się aż o Ural i góry Kaukazu, potrzeba znać nietylko czasy, w których się urodził, nie tylko ideę, zawartą w poezji Byrona, ale i osobę poety, który całe życie swoje przelał w poezję i który oddziaływał na współczesne i następne pokolenie zarówno utworami swej fantazji jak i utworami swej woli, to jest swymi czynami, swojem życiem.

Czasy, w których żył Byron, były czasami największego przełomu w pojęciach. Wiek XVIII zachwiał wszystkiemi podstawami panującego przez wiele wieków porządku społecznego, politycznego i religijnego. Stary świat feodalny ze swoją ślepą wiarą, z przywilejami wyższych stanów drżał pod uderzeniami krytycyzmu i coraz nowe rysy pokazywały się na murach tego go-

tyckiego gmachu. Nareszcie nadeszło straszliwe trzęsienie ziemi, dla którego Paryż był wulkanem i gmach feodalny runął niepowrotnie. Na gruzach jego rewolucja miała teraz wcielić w życie ideały 18 wieku; wszystko na nowy ład miało być zmienione. Wiarę, która była dotychczas regulatorką i kierowniczką życia narodów, odrzucono, nie umiejąc jej odróżnić od zabobonu; rozum miał teraz wszystko budować i wszystkiem kierować. Ale nie rozum, tylko zaciekłość doktrynerska pod jego imieniem, zaczęła stawiać gmach nowy tak potworny, iż dawniejszy gotyk mógł się przy tym nowym stylu wydać jeszcze arką przymierza. Terroryzm był piramidą ostrzem na ziemi opartą: nie mógł się w równowadze dłużej nad chwilę utrzymać i runął, runął pod własnym ciężarem rozbijając się w trzaski i zasypując niemi rewolucją.

Z kolei zachwiała się teraz wiara w nieomylność rozumu; i dawne i nowe ideały leżały rozbite: dawne, przetrawione rdzą wieków, nowe gwałtownie połamane. Do czasu jednak ludzkość nie mogła sobie zdać sprawy z tego, co się stało, tak była zajęta nowym widokiem. Na gruzach dawnego porządku i rewolucji wyrosła postać olbrzyma i jakby jakieś ogniste zjawisko niebieskie wszystkich oczy ściągnęła ku sobie i wszystkich uwagę krępowała. Żaden jeszcze człowiek nie wzniósł się był z takiego poziomu do takiej sławy i potęgi, jak Napoleon: ani Aleksander Wielki, spadkobierca tronu i planów ojcowskich, ani Cezar, dla ktorego ród patrycjuszowski był jednym ze stopni do późniejszej władzy. W postaci tego plebejusza, który rozkazywał monarchom, i tylko siłą własnej woli i własnego rozumu wzniósł się na najwyższy szczyt władzy, do jakiego zdolny wznieść się człowiek, w postaci tego plebejusza ludzkość obchodziła niejako swój tryumf. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że Napoleon tylko jako spadkobierca rewolucji mógł zostać tem, czem został, że tylko drzewo które zakwitło rubinowym kwiatem terroryzmu, mogło potem udźwignąć tak potężny owoc. Był on dla ludzkości przykładem, do czego zdolna wzbić się ludzka jednostka, rozniecił w piersiach wiecznie drzemiące tam pragnienia sławy.

Ale nadeszła chwila, w której się kolos chwiać zaczął i runął wreszcie w przepaść, zostawiając całą ludzkość w osłupieniu. Nastała wielka cisza, usposabiająca do rozważania i rozpamiętywania; rozmyślano nad znikomością ludzkiej sławy i potęgi, rozmyślano nad zawodnością rozumu ludzkiego, wyciągano ręce do przeszłości, której rysy przez grubszą warstwę oddalenia łagodniej się przedstawiały, starano się przywołać dawną wiarę dziecinną, która nie mogła już powrócić z naturalnemi barwami świeżości. Myśl ludzka nie wiedziała, w którą zwrócić się stronę, ku jakim ulatywać horyzontom; albo się więc gorączkowo czepiała symbolów religijnych, lub wchodziła w samą siebie i tam się otuliwszy melancholją i sceptycyzmem tęskniła do nowych, jeszcze nienarodzonych ideałów.

Wśród tej ciszy rozpamiętywania i tęsknoty odezwały się tony posępne i bliskie, wybornie harmonizujące z usposobieniem serc ogółu. Wiatr zachodni roznosił je po Europie, a wszystkie serca rozczarowane, marzące i tęskniące odbrzmiewały im echem. Była to bajrońska poezja.

Poezja ta była zarówno wiernem odbiciem ducha czasu, jak i osoby poety, niepodobna bowiem, aby duch czasu, duch sceptycyzmu i wewnętrznego rozładu, rozłamania serca, mógł był znaleść dla siebie lepszego przedstawiciela nad Bajrona.

Przedstawmy sobie dwudziesto-kilko-letniego młodzieńca o szlachetnej i pięknej twarzy, o ciele silnem i mimo lekkiego kalectwa zdrowem i zwinnem, obdarzonego nadzwyczajnemi zdolnościami umysłu, z majątkiem i wysokiem stanowiskiem w hierarchji społecznej — cóż za świetne widoki muszą się przed nim odkrywać, jakże ten świat różnobarwny musi nęcić kipiącego życiem młodziana, z jakąż zapewne radością i ufnością rzuca się on w wyciągnięte ku sobie ramiona ludzi, jakże rozległe pole ambicja jego może zakreślać dla siebie!

Takby się każdy mógł spodziewać, tymczasem cóż widzimy. Ledwie dotknąwszy ustami kielicha użycia, młodzieniec uczuwa przesyt i pogardę dla świata; zamiast oddychać i jaśnieć w sympatji ludzkiej, zamiast zjednywać sobie serca wszystkich darami młodości, piękności i szlachetności umysłu, Byron otacza się nienawiścią tych, od których najprędzej mógł się spodziewać miłości i uznania — nienawiścią rodziny i ojczyzny; zamiast znaleźć szczęście i spokój w małżeństwie, a wieczne źródło słodyczy w ojcowstwie, Byron w tem wszystkiem znajduje tylko bolesną ranę, która się jątrzy przez całe życie, nigdy nie zagojona.

Kto był winien temu, poeta czy społeczeństwo wśród którego los go umieścił? Wina tu była po obu stronach, choć nie w równej mierze. Z jednej strony szczególna organizacja poety, jego temperament nie znoszący żadnych więzów, żadnego przymusu, żadnej hipokryzji, jego niesłychana drażliwość i duma szukająca zadowolenia w walce choćby z całym światem; z drugiej strony ówczesny stan opinji publicznej w Anglji, owa urzędowa moralność i przyzwoitość, która nie chciała tolerować nic, co tylko nie nosiło na sobie jej pokostu, moralność płytka, bezduszna, dbająca tylko o pozory, a nie o istotną szlachetność duszy.

Taki duch nie mógł żyć w zgodzie z takiem społeczeństwem, a wydawszy raz walkę, nie mógł złożyć broni, poddać się i jak syn marnotrawny wrócić na jego łono. To też nie złożył broni do końca życia, a cała jego poezja dyszy, żyje tą walką.

Jakież były tedy żywioły tej poezji? Otóż naprzód choroba wieku, sceptycyzm, a wraz z nim tęsknota do nowych, jeszcze nieujętych w wyraźne formy ideałów; obok tego przesyt i pogarda dla życia, którego wszystkie roskosze tak znikome i marne, wreszcie walka z wszelkim przymusem, z wszelką tyranją, począwszy od takiej, jaką była tyranja opinji publicznej w Anglji, a skończywszy na tyranji tureckiej w Grecji.

Te żywioły w takiej lub innej kombinacji spotykamy u wszystkich bohaterów Byrona, którzy, pomimo iż ich jest tak wielu, zawsze i wszędzie reprezentują osobę samego poety. Są to ludzie z sercem rozdartem, ale nieugięci i walczący ze światem na zabój i do końca, otoczeni nieraz ciemnością zbrodni, ale żywiący w sercu jakiś znicz szlachetnego uczucia, który ich urokiem poetycznym rozjaśnia, gardzący życiem i nieustraszeni wobec niebezpieczeństw. Najulubieńszym typem Byrona jest korsarz, którego jakieś nieszczęśliwe, fatalne zajścia w życiu, popychają do tego zbrodniczego a pełnego niebezpieczeństw rzemiosła. I tym korsarzem jest nie kto inny, jak sam poeta; zewnętrzne okoliczności wymyślone, zbrodnie sztucznie nagromadzone, ale duch walki z całym światem, który ożywia korsarza, jest duchem samegoż Bajrona. Childe Harold jest jeszcze bliższym samemu poecie; osoba tego ostatniego jest tu lekką tylko przykryta zasłoną, którą nieraz uchyla, aby się otwarcie ukazać czytelnikowi. Manfred jest uosobieniem choroby wieku i samegoż zarazem poety: sceptycyzmu, przesytu i dumy, która nawet przed potęgami nadprzyrodzonemi nie chce ugiąć głowy. Nareszcie w Don Juanie znowu właściwym bohaterem jest sam Bajron w otwartej, zaciętej walce ze światem urzędowej moralności, świętobliwej obłudy i sztucznej konwencjonalności. W Child Haroldzie był jeszcze młodzieńcem, którego tylko co złudzenia zaczęły opuszczać i który jeszcze owiany jest mglistą ich atmosferą; w Don Juanie patrzy już na świat okiem doświadczonego człowieka, do szczętu zrywa ze wszystkiego maskę złudzeń i szuka zadowolenia w głośnym, ironicznym i cynicznym śmiechu.

(C. d. n.)

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

I.

Kilka lat upłynęło i wiele rzeczy się zmieniło.

Zacznijmy od tych które najmniejszych zmian doświadczyły.

„Pałac“ baronostwa Pogromskich stał jak dawniej na swojem miejscu, odświeżony tylko, wymalowany olejno, przyozdobiony, wyglądał jeszcze młodziej i weselej się do przechodniów uśmiechał.

Znać w tem było ducha epoki; dawniej zamki sędziwiały z pokoleniami, dzisiejsze pałace młodnieją.

Nie idzie zatem, żeby „pałac“ Pogromskich miał przejść w posiadanie następnego pokolenia. Wzmianka o pokoleniach nasunęła nam się zupełnie mimowolnie. Baron Narcyz nie zasiadł jeszcze w baronowskim fotelu barona Zygmunta z pięknie rzeźbionemi herbami, ani sobie oddzielnej nie zbudował siedziby. Baron Zygmunt przewodniczył dotąd swemu rodowi, baron Narcyz nie ożenił się jeszcze, ba! nawet piękna Nina za mąż nie poszła, baronowa tylko nie obiecywała długiego życia i częstemi wyjazdami do ciepłych krain zabezpieczać musiała nadwątlałe zdrowie od grożącej katastrofy.

Zwykle Nina towarzyszyła jej w tych wycieczkach i niejedno serce zranione zostawiła w pięknej Nicei lub w chłodnej a posępnej Ostendzie. Raz i Narcyz wybrał się w podróż, ale tak srodze to przypłacił przy zielonym stole w Wiesbaden i tyle potem miano kłopotu, iżby go oderwać od pewnej piękności, za którą „szczęśliwszy w miłości niż w grze“ puścił się w podróż awanturniczą, i z którą w końcu zaledwie się nie ożenił — że stary

baron postanowił odtąd nie wypuszczać go z pod swego ojcowskiego oka.

Zostawał więc Narcyz w Warszawie i miał nawet znowu z Amerykanką przygodę, która tym razem na serjo kalectwem lub utratą życia groziła, bo go na samym Nowym Świecie zrzucił na bruk dyszel przyjeżdżającego obok szalonym pędem jednego z tych automedonow złotej młodzieży, którzy za półrubla naddatku na piwo, gotowi zawsze zajeździć konie nieswoje. Wyszedł Narcyz z tego wypadku z kontuzjami tylko lekkiemi, lecz się wyprzysiągł powożenia i wszystkiego co sportem jest, i wsiadał tylko do zamkniętych powozów, co do których właściciel lub fabrykant dał mu słowo, że są zbudowane tak mocno, iż pchnięcie dyszlem dziury w pudle na wylot prześwidrować nie może.

Stary Pogromski siedział w kraju, gorliwiej niż poprzednio zajmował się interesami, często zamknięty w swoim gabinecie kładł przed sobą arkusz papieru, ustawiał na nim karabataliony cyfr i strategję spekulacyjnych pomysłów atakował je z jednego lub drugiego frontu, a potem zapisawszy na boku jakąś okrągłą cyfrę, uśmiechał się do siebie i zacierał ręce.

To upodobanie w rachubie i rachunkach było całkiem nowe u niego i widać służyło jego zdrowiu, bo przez te kilka lat nie postarzał wcale, nie pochylił się, lecz czerstwą i silną postacią zapowiadał długie życie.

W chwili kiedy na nowo podnosi się zasłona poprzedniego dramatu, który opisujemy w naszej powieści, baronowa z Niną wybierały się znowu do kąpieli morskich, a Narcyz upatrzywszy w salonach piękność, która mu i majątkiem i tytułem i wszystkiemi innemi warunkami stanowczo przypadła do gustu, rozpoczynał po raz pierwszy w swem życiu poważną konkurencję i o rozpoczęciu życia na własną rękę zamyślał.

Mamy nadzieję, że będziemy mogli zaszczycić czytelników znajomością jego przyszłej narzeczonej, hrabianki Niegolskiej z Galicji, za co też sobie u nich zamawiamy szczególne pobłażanie i względy.

Hrabia Gustaw, którego widzieliśmy po raz ostatni szukającego rozrywki i pociechy w wesołem gronie, znalazł ją tam tylko na chwilę.

Gdy się rozszedł z towarzyszami, zaczął medytować czyby złego naprawić nie można jakim sposobem i na nowo zawiązać urwanej nici romansu z Natalją.

Pamiątką tych medytacji pozostały dwa utwory, niestety niedokończone.

Pierwszym był list francuski takiej treści:

Mademoiselle,

Vous avez mal compris mes intentions... elles etaient...

Po tych wyrazach należało określić bliżej te intencje. Hrabia myślał i myślał, aż nareszcie dał listowi pokój. . .

Przyszło mu na myśl, że Natalja jest poetką, więc ją najłatwiej będzie wierszem przeprosić i przebłagać.

O innego rodzaju wiersze prosił zwykle znajomych poetów. Znamy go już dobrze z tej strony. Tym razem uczynić tego nie miał ochoty. Poeci, szczególniej też ci co pisują na zawołanie i o wszystkiem, bywają ludźmi wielkiego sprytu, niemalej domyślności, porządnej złośliwości i niewstrzemięźliwego języka. Żądając wiersza trzeba takiemu wieszczowi chociaż ogólnikowo opowiedzieć zdarzenie, on się z tego reszty domyśli i wszystko roztrąbi przed światem.

Hrabia bał się strasznie żeby się nie rozniosła wieść o jego porażce i nie osłabiła jego kredytu na giełdzie miłostek. Czuł że don Juanowie pospolici — bo do niepospolitych nie należał — są jak bankierzy. Dość im zaprotestować jeden weksel serdeczny, żeby nadwerężyć lub zwichnąć całą przyszłość—Eh! czyż to wielka sztuka złapać dwa wyrazy jednakowe i póty je wyciskać aż się myśl wyciśnie... sam napiszę...

Dla przyszłego twórcy *Dykcjonarza poetów* à la Juszyński i w ogóle dla historyka literatury potrzebną jest wiadomość, że hrabia Gustaw nigdyby nie wpadł na tę myśl, gdyby tegoż wieczora nie słyszał od jednego z obecnych w handlu literatów pysznej sceny ze Słowackiego, w której Leliwa mówił do gadającego rymami Doliwy:

Powiedz mi wacan, jaka jest w acanu
Organizacja, że zawsze na język
Przychodzą djabeł wie zkąd dwa wyrazy
Podobne sobie jak dwie małpy. Czy drwisz
Z języka, czy twój język stał się błaznem
I bawi własne twe zęby? Mospanie,
Czy to od bolu zębów jest lekarstwo,
Czy dziwny jaki fałsz w acana dziobie?...

Hrabia chciał popróbować co to jest i zdawało mu się, że to nie musi być nic tak trudnego, kiedy sami poeci żartują z tego.

Wziął tedy rymy: *gotów* i *przymiotów* i zaczął z nich sens wyciskać, niby z cytryny.

Rymy puściły z siebie taki dystychon:

Natraljo! jam ci wszystko święcić gotów,
W nagrodę twoich wdzięków i przymiotów..

Do drugiego dwuwiersza wziął się trochę za śpiesznie, bo napisał wiersz pierwszy nim sobie wynalazł wyraz rymujący na końcówkę drugiego.

Trzeci więc wiersz, powstały bez trudu, brzmiał jak następuje:

Ale mnie pojąć tyś nie miała chęci...

Tu się zaczął kłopot o zakończenie pierwszej strofki. Stawiły się rymy na zawołanie— byli tam i konkurenci i malkontenci, penitenci, plenipotenci i innego rodzaju natręci, ale nic nie zdawało się Gustawowi odpowiedniem w całej tej zgrai, aż uczuł że samemu w głowie mu się kręci i utopił swój utwór w rzece niepamięci, czyli, mówiąc nie wierszami, zostawił swój autograf na stoliku, zkąd go losy po bardzo licznych awanturach i przygodach nareszcie na ozdobę naszej kolekcji przyniosły.

Było to ostatnie usiłowanie hrabiego w celu pogodzenia się z Natalją.

W parę dni potem spotkał na ulicy Emila, to jest nie spotkał, ale spostrzegł zdaleka Rzewnickiego, który go jeszcze nie widział.

To mu przypomniało, że ma nagły interes do załatwienia w bramie domu, koło którego właśnie przechodził.

Powtórzyło się to raz jeszcze w taki sam prawie sposób, z tą tylko niewielką różnicą, że tym razem wypadł mu interes nie do bramy, lecz do przejeżdżającej właśnie próżnej dorożki.

W parę dni potem przychodząc do domu, rzucił okiem jak zwykle na bilety, które pozostawiono w jego nieobecności i na jednym z nich dostrzegł ze zdziwieniem wylitografowane nazwisko: Emil Rzewnicki.

Zawołał służącego.

—Co to za jeden ten pan Rzewnicki?— zapytał, udając że nie zna takiej osoby.

Służący był totumfackim hrabiego i w czasie zaznajomienia się jego z Natalją był używanym do różnych czatów i wywiadywań.

— A! proszę jaśnie pana, to jeden z tych, co chodzili do tej panny z Botanicznego... do Balskiej.

—Ah!... czego on tu chce?... powiedział kiedy przyjdzie?...

—Mówił że jutro o trzeciej po południu jaśnie panie.

—Dobrze... będę czekał... możesz odejść.

—Jaśnie pan może się nie rozgniewa — dodał służący zabierając się do odejścia — jeżeli powiem że ten pan Rzewnicki, znowu tam bywa u tej Balskiej... widziałem sam i pytałem się stróżki... mówiła, że posyłali po niego.

Hrabia przygryzł wargi.

— Nic mnie to nie obchodzi — odrzekł po chwili z afektowaną obojętnością — możesz i ty tam bywać jeżeli chcesz... daj mi pokój z wiadomościami, których nie potrzebuję...

Służący widząc, że pan w złym humorze, odszedł w milczeniu.

Mimo małej wagi jaką do niej pozornie przywiązywał, wiadomość doniesiona przez przedpokojowego konfidenta była widać dla Gustawa potrzebną, bo dość długo w myśli nią się zajmował

—*C'est toujours ainsi avec ces gens-là*— mówił do siebie — zamknęły mu dom przed nosem, a jak przyszło co do czego, zaraz posłały po niego służącą. Człowiek z wyższem uczuciem swojej godności nie poszedłby po doznanym afroncie... ale on... kupczyk... czyż może znać się na tem?... Zawołały, więc polazł i razem z niemi płacze, żem jej nie chciał zrobić hrabiną, bo że mu wypaplały wszystko, to niezawodne, chociaż ona przysięgła mi, że nic nie powie!... Gotów mi teraz robić awantury, albo nudzić namawianiami, żebym się ożenił z jego donzelką... Tego się po nim spodziewać można.. z takim sentymentalnym patetyzmem ściskał mnie za rękę i mówił płaczliwym głosem: „uczyń ją szczęśliwą, Gustawie!..." Szczęśliwą... *je voudrais bien, mais comment le faire si elle ne le comprend pas?*

W ten to sposób zastanawiał się dalej hrabia nad całem zajściem, a im dłużej myślał tem lepiej widział, że się wplątał w niepotrzebne kłopoty, które mogą ciągnąć się długo.

— Licho go zresztą wie jakiego on usposobienia. Ocierałem się dosyć o rozmaitych ludzi i wiem czego się po niejednym spodziewać można. Ten jest zwyczajny bałwan, co mu każą zrobi. Jak ona zechce, gotów mnie wyzwać na pojedynek. Gdyby to kto inny, nie odrzuca się pojedynku... miałem już jeden, a nawet teraz przydałby mi się drugi, żeby jeżeli mają gadać, gadali lepiej o awanturze honorowej niż o niefortunnych zabiegach koło jakiejś głupiej mieszczanki. Ale

*

czy podobna, żebym się strzelał z kupczykiem?...

Hrabia był w wielkim ambarasie, klął chwilę w której mu przyszła pierwsza myśl rozpoczęcia tego nieszczęśliwego romansu. Przewidywał plotki, czuł w powietrzu śmiech. Awantur, wyzwania, kuli nawet nie obawiał się bardzo; przed śmiechem, przed rozgłoszeniem swego niepowodzenia drżał. Są ludzie, których całem zadaniem życia śmieszyć innych, są inni, których śmieszność by zabiła. Wartość wewnętrzna tych ostatnich jest taka jak wartość artystyczna utworu, który parodja zabić może. Dla tego unikają wszelkiemi sposobami śmieszności, jak owe wielkości z gatunku najdrobniejszych, któreby dostały żółtaczki, gdyby siebie albo swoje utwory czy postępki nagle w jakiem pisemku humorystycznem zobaczyły w karykaturze.

Nic dziwnego, że i hrabia Gustaw pod wpływem takich medytacji, kiedy sobie przypomniał, że żyjemy obecnie w XIX wieku, w wieku który lekceważy przestrzenie i odległości, w epoce w której kto dziś jest w Warszawie może być pojutrze w Paryżu, kiedy mu przyszło na myśl, że w Paryżu dawno nie był, a Paryż jest miastem bardzo przyjemnem, skorzystał z wynalazków i odkryć stulecia i już nazajutrz był w drodze..

Było to zresztą wcale niepotrzebne, bo Emil z tego co zaszło wiedział nadzwyczaj niewiele, i jeżeli przychodził do niego, to więcej dla tego, żeby się dowiedzieć właściwej przyczyny, dla której zerwał z Natalją, niż żeby mu o to zerwanie robić wymówki lub sceny.

Dokładnej prawdy nie mógł się od nikogo dowiedzieć, tembardziej że jej nie zaraz dowiedziała się sama pani Balska.

Zniewalająca propozycja Gustawa, doznany tak nagle zawód, rozczarowanie przychodzące tak niespodziewanie, w chwili gdy była upojoną najpiękniejszemi marzeniami miłości i szczęścia, fatalnie oddziałały na Natalią.

Omdlenie jej było początkiem długiej i niebezpiecznej słabości, w której z początku bezprzytomna, potem mówiła mało i bez związku prawie, a doktór przywołany wybadywać jej zakazał.

Matka zrazu nie wiedziała i nie domyślała się niczego. W pierwszej chwili uderzyło ją wprawdzie zimne i obojętne odejście Gustawa, wtenczas właśnie gdy potrzeba było ratunku, lecz potem przepędzając noc bezsenną u łoża ukochanej jedynaczki, dała odbiedz z pamięci temu przelotnemu wrażeniu.

Przypomniało się jej ono wtenczas dopiero, gdy Gustaw nazajutrz sam nie przyszedł, ani nie przysłał się dowiedzieć o zdrowie chorej.

Zaczynała przeczuwać nieszczęście i wtedy napisała do Emila.

Emil przybiegł natychmiast, szczęśliwy że go potrzebowano i robił wszystko co robić potrzeba w takim wypadku, nie pytając o powody, bo sądził, że wprzód skończyć należy z ratunkiem, nim się z rozpytywaniem zacznie.

W parę dni przeminęło niebezpieczeństwo, doktór zapewnił, że chora jest ocaloną, zalecił tylko niemówienie do niej o drażliwych dla niej przedmiotach.

Matka zrozumiała odrazu, że tym o kim wzmianki unikać należało, był przedewszystkiem jedyny świadek zasłabnięcia, a może tajemniczy sprawca choroby.

Rzewnicki nie mogący sobie wytłumaczyć co znaczy nieobecność Gustawa, uspokojony o życie ukochanej, zapytał się o to pani Balskiej.

— Nie wiem – odpowiedziała mu tylko — był kiedy zachorowała... wyszedł i więcej nie powrócił.

— W takim razie pójdę do niego i dowiem się...

—Nie śmiałam pana prosić o to, kochany, dobry panie Emilu...

Emil wiedział gdzie Gustaw mieszka ztąd tylko, że go jak pamiętamy, raz w nocy widział wchodzącego do domu.

Poszedł tam, dopytywał się, ale mu powiedziano, że żaden Gustaw Borowski w tym domu nie mieszkał i nie mieszka.

Rozpytywał się ludzi, którzy mieli stosunki i znajomości z malarzami, żaden nie słyszał o malarzu tego nazwiska. Chodził nawet do redakcji pism kilku i tam go zapewniono, że malarz Borowski nie istnieje wcale w Warszawie.

Był w rozpaczy.

— Kogóżem ja do ich domu wprowadził? — rwąc sobie prawie włosy z głowy, mówił do siebie.

Spotkał wreszcie Narcyza, do którego parę razy zachodził, ale go nigdy nie zastawał. Ten nie dał mu lepszych objaśnień, a nawet wyraźnie jaśniejszego tłumaczenia się unikał. Powiedział tylko, żeby w nieistnienie Borowskiego nie wierzył, a o mieszkaniu przyrzekał się wywiedzieć, jak tylko Gustawa gdzie spotka.

— Dawał mi swój adres... ale... zgubiłem — zakończył.

W najdziwniejszem położeniu w obec nieszczęśliwej matki, Emil o mało sam nie przypłacił chorobą, braku dokładnej informacji.

Nareszcie przychodząca do siebie Natalja, zaczęła zwierzać się przed matką.

Z tego co się dowiedziała od córki, matka powtórzyła Emilowi tylko właściwe nazwisko i tytuł Gustawa.

Nie pozwalając córce mówić wcale, sama nie wiele więcej wiedzieć mogła, Emil zresztą nie badał tajemnic.

Ta wiadomość posłała go do hrabiego, którego nie zastał i o którym dowiedział się nazajutrz, że wyjechał do Paryża.

Co się kryło na dnie tych wszystkich zagadek?... nie wiedział. Myśleć o tem zabraniał sobie nawet. Zdawało mu się, że w tem nic podłego i niepoczciwego ze strony Gustawa być nie mogło. Wprawdzie krył się przed nim z tem kim był i to się wydawało mocno podejrzanem, ale Natalja wiedziała wszystko dla niej był hrabią, względem niej zatem musiał mieć czyste zamiary, a jeżeli okoliczności go zmusiły nagle przerwać bywanie, opuścić kraj, toż okoliczności bywają różne i dziwną jest często ich potęga.

Są ludzie, którym tylko wyraźna oczywistość może coś na złe wytłumaczyć. Do takich należał Emil po za obrębem handlowego świata, w tym bowiem nie był takim optymistą.

(C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Pod koniec dopiero powstania Rząd Narodowy zrozumiał znaczenie zachodnich gubernji czyli Litwy i Rusi, i wpływ ich na losy całej wojny. Jednak nie umiał korzystać nawet z bardzo stanowczej opinji powszechnej w tym kierunku objawiającej się. Litwa zaniedbywana, nie mając dostatecznych zapasów amunicji, zbrojowni i instruktorów nie przynosiła sprawie korzyści jakie mogła by jej przynieść. Wtedy powstała myśl morskiej wyprawy na Żmudź, wyprawy kierowanej przez Pawła Jerzmanowskiego, ostatniego dowódzcy gwardji ułanów polskich przy Napoleonie I. na Elbie i pod Waterloo. W urządzeniu tej wyprawy nie małą zasługę położył komitet centralny polski. Zakupiono okręt (*brick*) i całkiem wyekwipowano; a miał on przewieść 3.000 karabinów, 5.000 funtów prochu, 200.000 skałek (bo w 31 roku używano powszechnie skałkówki), 15.000 funtów ołowiu i tysiąc innych przedmiotów koniecznych dla służby szpitalnej. Na statek ten wsiadło również 20 oficerów, a ich obowiązkiem było przeprowadzić go bezpiecznie do brzegów Żmudzi, wylądować i przyjąć udział w walkach Litwinów z najazdem. Wszystko przemawiało za udaniem się wyprawy, Rząd Narodowy był zawiadomiony o przybyciu statku aż siedmiu co raz innemi drogami; zatem mógł zawczasu się zastósować do okoliczności. Zbliżył się statek, dał sygnały, nadjechały szalupy i czółna dla zabrania tych rzeczy. Byli przygotowani już ludzie dla wylądowania i uzbrojenia się. Trzeba tylko jednej nocy i powstanie litewskie wsparte tym zasiłkiem zajaśniałoby nowym blaskiem.

Statek przybił do brzegów litewskich 22 września ku Połądze i nic się nie sprzeciwiało wylądowaniu efektów wojennych, ale niestety! Moskale byli już w Warszawie i armja powstańcza zmykała za granicę, a w one czasy nie pojmowano, że bijąc się za świętą wolność ojczyzny przybytkiem walecznych nie stolica, ale mężne serca wojowników i że kto raz wypędził tyrana z murów grodu własnego, ten będzie mógł tysiąc razy dokonać tego samego, jeżeli serce jego oprómieni ten sam zapał listopadowy. Upadła Warszawa i za nią powstanie całe. A za przykładem przysłanego od komitetu *Romarino* i Rybiński z Sejmami i rządami wynieśli się donkiszotować awansami na obczyznę, kraj zaś znowu ugiął się przed okropniejszem jarzmem Mikołajowskiem.

Po listopadowem powstaniu orężni mężowie zamiast ginąć na popieliskach i gruzach własnego kraju lub zwyciężać wroga, zawdzięczając swej starszyźnie nie tylko nie okryli ojczyzny purpurą szczęścia i niepodległości, lecz samowolnie zerwawszy wieńce laurowe tylu sławnych zwycięzkich bitew, ponieśli swe głowy na obczyznę, na nędzę tułaczą. Jeżeli J. Wielm. posłowie i książęta siaki taki mieli zapasik wyrwany z powodzi lub rozliczali na zręczność kiedyś mogącą się nadarzyć poratowania przez zamożne rodziny, i że u nas jeszcze rodzinne uczucie nie wygasło; to znowu szeregowi, biedni literaci, profesorowie i cała klasa

ludzi przekonań bez ładownych kieszeni, znaleźli się w opłakanem położeniu.

Wprawdzie przez Niemcy towarzyszył im zapał szalony ludu ku sprawie naszej, witano ich okrzykami radości. Żywiono i zatrzymywano po kilka dni, bezpłatnie odwożono do następnych miasteczek i tp. okazywano dowody zajęcia się losem przedstawiających sobą ideę narodowości, choć z osobami temi rozmówić się mogli tylko na migi. Jednakże mało kto się zatrzymywał w przelocie. Każdego coś pędziło na zachód, dalej od ojczyzny. Czy było to wspomnienie niewygasłych z pamięci walk, na tych samych błoniach pod rozkazami wspólnego wodza, czy też nadzieja zapłaty za krew laną przez Polaków za obce im sprawy, czy też spodziewana większa swoboda praw konstytucyjnych i mniejszy wpływ cara na rząd, dość, że u każdego na ustach była Francja i ocean powstrzymał dopiero wędrówkę na Zachód szczątków listopadowego powstania. Na Francję zwaliło się mnóstwo Polaków nie znających obcego języka i obcych obyczajów, bez możności zyskania sobie pracy. Pierwsze chwile były straszne.

Potrzeba było środków na zapobieżenie nędzy. Wtedy to powstała w komitecie franko-polskim myśl, rozdawania potrzebującym Polakom uzbieranych składek.

Odezwę swą listopadową kończy więc komitet:

„Resztki armji polskiej rozproszone; ci mężni nie mają innej ojczyzny nad Francję; tam więc uchodzą a my, my wypełnimy ostatni i dobroczynny obowiązek; przyjmiemy naszych braci. Niechaj więc będą zrobione nowe wysiłki i nowe ofiary; jeżeli przeszedł czas działać politycznie dla Polaków, to za to nadszedł czas okazania braterstwa. Obywatele, prosimy was, róbcie subskrypcję; nasi obywatele Polacy potrzebują więcej niż kiedykolwiek; usłuchajcie, zróbcie jeszcze więcej: niech naczelnicy przemysłu zbierają naszych braci i ich używają, niech wyrobnicy przyjmą ich do swych szeregów, teraz oni są Francuzami. Co do Polaków, których obyczaje są różne, niech ci co mogą obciążyć się utrzymaniem kogokolwiek z nich, przyjmują ich do swych domów i opiekują się nimi. *Niech kompanje gwardji narodowej, niech pułki armji, niech gminy ich przyjmują.* Szlachetni obywatele, złączeni już w komitety wiejskie i prowincjonalne; pochwalajmy i wspierajmy to patrjotyczne usiłowanie.“

Zbierano więc najusilniej składki i nadal, Do listopada zebrano 443.298 fr. Dla powracających zaś pozostawało licząc 80.000 za sprzedane efekta z wyprawy Hawrskiej razem 109.484 fr. Zaczęto od tych sum. Nie powiem by ta myśl pomocy cierpiącym, to filantropijne przedsięwzięcie w dalszym rozwoju nie oddziałało źle na usposobienie opinji powszechnej. W tem jałmużnictwie kryje się początek wyrobionej później przez Czortoryszczyznę, żebraniny pobożnej dla sługusów hotelu Lambert i *pouvres polonais* powtarzane przez każdego prawie Francuza, chcącego okazać dla nas swe współczucie. Przyczyniło się więc do rzucenia na imię całego narodu łachmanów żebraczych. Jednak muszę wyznać, że tylko te składki zbierane przez komitet franko-polski, ze wszystkich wpływających we Francji na rzecz Polski i Polaków, były używane na cel przeznaczony bez różnicy przekonań politycznych i społecznych wspieranych.

Jałmużny takie nie mogły wyniszczyć biedy emigracyjnej, bo bieda i nędza leczą się tylko jedną pracą. Na pierwszą jednak chwilę ulgę robiły w wyszukaniu pracy lub rozpatrzeniu się w istniejących stosunkach. Dla tego to nie tyle ważne sumy rozdane przez franko-polski komitet, co rekomendacje dawane przez to bardzo poważne ciało dla potrzebujących roboty. Rekomendacje te miały niejednokrotnie wpływ na otrzymanie odpowiedniejszego zajęcia, lub nie wymagającego jednej tylko siły dobrze rozwiniętych muskułów. Jako sekretarz świadectwa takie za wiedzą dyrektorów wydawał L. Chodźko. A kto wspomni, że do składu komitetu wchodzili *Beranger*, *Boulay de la Meurthe*, Armand *Carrel*, *Cremieux*, Kazimierz *Delavigne*, *Daunon*, jł. *De Caen*, *Dupont de l'Eure*, *Garnier-Pagès*, Wiktor *Hugo*, *Sasteyrie*, jł. *Lamarque*, *Larrey*, *Mangin*, Armand *Marrast*, Gustaw *Montebello*, *Odillon-Barrot*, *Tracy*, *Zeltner* i tylu innych, ten niezdziwi się, że we Francji można było zrobić cośkolwiek. Osoby wymienione piastowały nieraz krzesła poselskie i teki ministerjalne.

Pod tchnieniem tego komitetu stanął w Ameryce drugi amerykańsko-polski, a przewodniczył mu Samuel *Howe* i zastępca Fenimore *Cooper*. W tym komitecie honorowymi członkami byli Lafayette i Chodźko L. Więc obie półkule ziemi związano z sobą jedną nicią braterstwa z Polską i nić ta zaczynała wyrastać potężniej w godło braterstwa ludów po za względami polityki rządów.

Najwięcej na wytworzenie tego braterstwa wpływała opinja prasy. Do składu komitetów polskich weszli najpopularniejsi i najdzielniejsi dziennikarze. Więc chociaż obfite składki pieniężne płynące zaraz po powstaniu wyczerpywały się wkrótce i puste kieski emigrantów napróżno oczekiwały wzmocnienia zasiłków z tego źródła; to zawsze pozostawało ciało zbiorowe z chorągwią braterstwa ludów jako wyrzut sumienia dla tyranów za mordowanie nieśmiertelnych narodów.

Zrazu Francuzi nie pojmowali tego moralnego znaczenia instytucji i nawet czynni członkowie chcieli się usunąć, gdy już zabrakło pieniędzy na cele dobroczynne. Jednakże usiłowania polskie stanęły na zawadzie temu, i łatwo wytłómaczyło się że jak długo trwa niewola Polski, dokąd moskiewski bat zapędzać będzie do Sybirskich katorżni wierne syny ojczyzny, dotąd musi istnieć wiecznotrwałe knowanie na zrzucenie jarzma, czy jak nazywa Szujski Józef trwać musi „nieprzerwalność powstania.“ Spokój, nawet pozorny zachwyt łaskawością carów, to tylko blichtr, świąteczny uśmiech dla gości, gdy w sercu krwawo. Ale te wszystkie pozory nie mogą odwrócić walki słowem lub czynem lub orężem w miarę tego, jak się nadarzy sposobność. Zrozumiał to nareszcie komitet i odtąd nie rozwiązywał się wcale, chociaż już nie miał pieniędzy.

Komitet stał się jakby moralną potęgą we Francji czuwającą nad sprawą polską, i mnóstwo dzieł o narodzie i sprawie naszej wyszło na świat z pod pióra tych członków, lub też za fundusze przez nich uzbierane. Czterdziesty szósty i czterdziesty ósmy rok wykazały potrzebę istnienia takiego ciała zbiorowego, przekonały że listopadowe powstanie nie było ani pierwsze, ani też ostatnie. Wówczas to znowu posypały się wsparcia i składki w miarę wzmożonych nowych potrzeb.

Później nadszedł rok 1863.

Działanie komitetu franko-polskiego oto tak oceniano w 1831 roku w *Nowej Polsce* (w Marcu) a duch proroczy prawie wykazał z rewolucyjną logiką następstwa nikczemnej polityki Ludwika Filipa.

„Jednym z najwspanialszych fenomenów nowoczesnej historji, jednym ze świetnych dowodów podniesienia się uczuć ludzkości i prawdziwego światła jest to współczucie i wspieranie sprawy narodu bezpośrednio przez drugi naród.

„Polska upadła, a krew jej synów wylana na własnej ziemi i we trzech częściach świata, nie zdołała jej wskrzesić. Istniała wprawdzie, ale istnieniem nabalsamowanej mumji; zachowała jakąś postać, jakieś niepewne rysy, świadczące o jej wielkiem i świetnem życiu niegdyś, rysy starannie zacierane dłonią barbarzyńskich ciemiężców. Narody traciły już pamięć jej, tyle zasłużonej przeszłości. Ale wschodzi gwiazda listopadowa; mumja budzi się, życiem zdumiewa ludy i zatrważa swoich morderców. Wszystkie szlachetne serca uderzyły radością i współczuciem: ale to zakazane przez despotów dziecię tam tylko gdzie wolność swe panowanie rozszerza, tam tylko wyraźnie mogło objawić się. Francja, Anglja i Belgja dają nowy przykład najwspanialszego obrazu wspierania narodu przez naród, tego wysokiego pojęcia sprawiedliwości, będącego udziałem wolnych tylko narodów.

„Pierwsza Francja, której synów serca oddawna już pobraciły się z naszemi na polach zwycięstw i chwały, objawia to spółczucie naszych nieszczęść i naszego bohaterskiego powstania. Polska też najwięcej ku szlachetności Francji zwracała swoje nadzieje.

„Rewolucja nasza zastała Francję świeżo po wielkiem wstrząśnieniu. Stan jej polityczny, jeszcze nieugruntowany, znalazł w niej zabezpieczenie swoje. Już ta jedna okoliczność zdolną była podnieść za nami głos rządu i narodu francuskiego. Tymczasem ktoby się spodziewał? Interes Francji, której rząd jak najlepiej powinien był popierać, ustąpił; ministrowie tylko westchnieniami duszą sprawę, co zapewniła Ludwikowi Filipowi spokojność posiadania tronu, powierzonego mu przez naród i przy narodzie samym zostało to spółczucie i to pojęcie sprawiedliwości, które tyle go uzacnia. Dzieje nie przedstawiają tak wielkiego rozbratu między uczuciami narodu a jego polityką. Fenomen ten czy dobrze posłuży dzisiejszemu rządowi francuskiemu, może niedaleka przyszłość rozwiąże? ....

„Opinja publiczna we Francji względem sprawy polskiej objawiła się zaraz od chwili nadejścia wiadomości o wypadkach listopadowych. Jakiekolwiek były przeszkody robione przez ajentów mocarstw ościennych i naszych własnych zdrajców, w wyjaśnieniu prawdziwych celów powstania Polski. Dosyć było Fracuzom wiedzieć żeśmy podnieśli oręż, aby odgadnąć nasze zamiary. Wprzód jeszcze, nim chytrzy pierwsi sternicy naszej rewolucji dozwolili je odkryć, już po Francji rozlegał się odgłos niepodległości Polski; bo tylko wolny, niepodległy naród zasługuje na cześć i na przychylność wolnego niepodległego narodu. Na prowincji, jak i w Paryżu, radość była widoczną, w zewnętrznych malowała się znakach. Dzienniki brzmiały hymnami pełnemi nadziei; zdawało się że naród w tęczy rozbłyśnionej nad Wisłą, widział tryumf swoich długich i krwawych ofiar dla szczęścia ludzi.

„Wskutek tak jednomyślnych, tak wyraźnych uczuć francuskiego narodu, zawiązał się *komitet centralny franko-polski.* Pierwsi mężowie Francji, w naukach, w zawodzie oręża, połączyli się w piękny ten związek, mający na celu wspieranie najświętszej na ziemi sprawy. Powstał on pod hasłem niepodległości Polski. Mąż dwu światów, wielki obywatel mu przewodniczy. Najważniejszem usiłowaniem komitetu, było skłonić gabinet francuski do takiego względem Polski postępowania, jakie przedsiębrał dawniej w sprawie Grecji, a obecnie w sprawie walecznych Belgów. Nie dziwimy się, że dotąd nie dopiął swoich zamiarów; nie umniejszy to wdzięczności naszej dla mężów co go składają. *Komitet franko-polski* uczucia i chęci swoje ogłosił, światu w manifeście z 12 lutego, do ludu polskiego. Pozostanie on pięknem świadectwem poszanowania Francuzów i tej otwartości w przyznaniu dopełnionych usług, tylko wolnym ludom właściwej. Możemy przebaczyć egoizmowi kilku ministrów, gdy cała Francja podpisuje takie wyrazy.

„Otwarcie składek podało Francuzom sposobność okazania swej przychylności dla sprawy polskiej w sposób jedyny, jaki zważając na politykę gab-

netu, pozostawał szczególnym osobom. Na liście ofiar znajdujemy dary mieszkańców klas wszystkich. Od najbogatszych właścicieli i kupców, do ubogich wyrobników, każdy przyniósł swój szeląg do tego upominku braterskiej życzliwości. Jakże nam miło, pomiędzy nieśmiertelnemi imionami, Lafayetta, Wiktora Hugo, Kazimierza Delavigna, narodowego spiewaka Berangera, uczonego Lemerciera, bohaterskiego Fabviera, Euzebjusza Salwenta, publicysty Cashois-Lemaire, deputowanych jenerałów Demaway i Lamarka, Rignona i Mangnina i ich najsławniejszych kollegów w Izbie; nakoniec tego najstalszego przyjaciela Polaków Marka-Antoniego Julliena z Paryża. Między takiemi imionami, jakże nam miło czytać podpisy młodzieży szkolnej, prostych żołnierzy, szewców, kupczyków, kominiarzy... Nareszcie składki dam francuskich, które każdy piękny zamiar tak żywo interesuje! Rozrzewnia nas pamięć tych Polaków i Polek, którzy przeciwnością losu ścigani, osiadłszy w gościnnej Francji, dzielą się z oddaloną ojczyzną, szczupłem swem mieniem, *gdy napełniający jednak Paryż panowie-arystokraci polscy dotąd nie należeli do ofiar.* Niechaj słaby rys zapału, jaki dla nas ożywia Francję, przekona zasmuconych obojętnością rządu Polaków, iż *naród najmocniej sprzyja obecnej ich sprawie.* Król, którego pierwszym interesem powinnoby bydź naprawienie błędu Ludwika XV i Napoleona I, zyskując najwierniejszą w niepodległej Polsce przyjaciółkę ludu, który ją kocha, *król ten rzuca się z poniżeniem w ręce monarchów, co przez 40 lat byli wrogami Francji....* Guizot i Perrier, dążąc do zatarcia opinji republikańskich wyjawionych w trzech dniach lipcowych 1830 r. mimowolnie je powołują do życia. Te, a nie inne są przyczyny obojętności gabinetu francuskiego na sprawę Polski. Lęka się on zaburzeń rewolucyjnych wewnątrz, ale właśnie dlatego lęka się, że republikanie nabierają przewagi, i prędzej czy później muszą zwyciężyć. Na wyobrażenia wieku nie ma lekarstwa, jeżeli opinja wzywa Rzeczypospolitej: Rzeczpospolita będzie, a okręt nakierowany śmiało, ani w tył ani naprzód, tylko prędzej rozbije się. Możnaby jeszcze dodać, że same wypadki w Polsce, jak dyktatura i jej żebrający wysłańcy, opóźnili zawiązanie właściwych stosunków naszych z Francją. Ale waleczne wojska polskie nagrodziły uchybienia i rządu i dyplomatów i wodzów swoich. Trzydzieści tysięcy trupów moskiewskich w niekorzystnie obranej pozycji dowodzą do jakiego stopnia są ożywione najwyższym zapałem! Prędzej czy później oręż Polaków skłoni na stronę naszą polityke francuską."

Jan Ludwik Żukowski.

Zmieńmy imiona a dałoby to się zastosować całkowicie i do 1863 roku. (C. d. n.)

Z TYPÓW I OBRAZKÓW WIEJSKICH.

Gospodarz postępowy i Gospodarz partacz.

1. Gospodarz postępowy. Pomimo całego ruchu na polu literatury rolniczej, pomimo interesowania się nowo robionemi odkryciami i coraz szerszego ich zastosowania w gospodarstwie, agronom postępowy jest jeszcze niestety jakąś anomalją, jednostką, która nie zyskała dotychczas u nas zasłużonego uznania.

Na stu gospodarzy zacofanych, zaledwie kilku naliczysz prawdziwie postępowych i ci ostatni są zazwyczaj przedmiotem szyderstwa tamtych.

„Gospodarz postępowy!", wyraz ten wymawiany bywa przez masy z jakimś nieokreślonym odcieniem ironji i politowania.

A przecież jestto człowiek nauki, i każdy z owych szyderców ma dlań pomimowoli szacunek i okazuje mu go w oczy.

Czem więc się to dzieje? zkąd to politowanie, którego jest przedmiotem?

Dla tej nauki właśnie, będącej po prostu zawadą do osiągnięcia ostatecznego celu gospodarstwa, t. j. zysku materjalnego, do czego po trzeba u nas tylko, jak dotychczas praktyczności. Bo gdyby z tego, co nam się dotykalnie przedstawia jako rezultat, chcieć wyprowadzić definicję, co jest gospodarz postępowy, a co zacofany, wypadałoby, że ten ostatni robi majątek, pierwszy zaś trwoni go.

Na nieszczęście tak się dzieje, ale dla czego?

Agronomja jest nauką tak dobrze jak każda inna, a nawet zawilszą od wielu innych, wyniki jej zależne są od tysiącznych, do dziś niezbadanych wpływów fizjologicznych.

Coraz nowe odkrycia dopełniają lub zbijają dawniejsze. Wczoraj stanowczy głos miał Liebig, dziś Ville, jutro wystąpi ktoś inny, z nową zdobyczą na polu badań.

Więc agronom postępowy musi być Liebigiem i Villem na małą skalę i pracować dla dobra powszechnego, a czy od takiego człowieka podobna żądać, aby samolubnie pamiętał o sobie, gdy on ostatni grosz gotów poświęcić na doświadczenie, mające przynieść korzyść ogółowi.

Jest więc męczennikiem nauki, i jako męczennika, ogół szanuje go pomimowoli, co nie przeszkadza, że nie myśli go wcale naśladować, a nawet drwi zeń za oczy.

— Czytałeś artykuł X-a o kredycie? — pyta się pan A pana B.

— Rzecz dziwna, że ten co radzi innym, nie umie poradzić sam sobie — mówi pierwszy— i tyle musi ponieść trudów, nim dostanie zkąd głupie tysiąc reńskich.

— Cóż chcesz! romanse, książeczki; artykuliki — odpowiada drugi — jeden lubi to, drugi owo. Ha! jak sobie kto pościele, tak się wyspi!

I pan B. nie chce wcale zrozumieć, że X. ścieląc, myśli o pożytku ogółu, zapomina o sobie.

Albo inna rozmowa:

— Czy wiesz, że Z. wypalił znowu jakiś artykuł o polepszeniu bytu klasy roboczej?

— Ha, ha, ha, warjat! żeby lepiej o sobie myślał. Niedługo może ze wsi go wypędzą.

— Bieda z tymi ciężko uczonymi.

I tak jest, niestety! większa część postępowych biedę klepie, są wprawdzie przykłady, że zamożność idzie w parze z inicjatywą naukową, ale nieszczęściem stosunek tu jest taki sam podobno, jak wśród literatów i w ogóle ludzi pod jakimkolwiek względem naukowych.

Bo zamożne i tak zwane wzorowe gospodarstwa, nie koniecznie są już postępowemi. U większości ta wzorowość zasadza się na porządku wprawdzie i logicznem prowadzeniu rzeczy, ale to nie ma nic wspólnego z naukowym postępem.

Są to poprostu robigrosze.

Jedna jeszcze okoliczność, różni postępowego od zacofanego.

Pierwszy zazwyczaj jest optymistą, czego drugi znieść nie może, bo gospodarze nasi są z zasady pesymistami, każdy z nich narzekać musi, bo jakże tu nie narzekać, gdy wszelkie niepowodzenie gospodarskie, nawalnica, posucha, nieurodzaj jakiego ziarna, trudność najmu i t. d. i t. d. jest klęską dla kieszeni.

Optymista powie, że to są wypadki bardzo przewidziane, z powodu których zawczasu na utratę pewnego procentu z dochodu trzeba być przygotowanym, pessymista wie także o tem bardzo dobrze i posiada niewątpliwie w kieszeni skuteczniejsze niż tamten lekarstwo, ale narzekać jest jego świętym obowiązkiem.

Postępowemu, straty podobne osładza każda zdobycz na polu doświadczeń, drugiemu nic nie nagrodzi ubytku jednego papierka stureńskowego, bo ten jest ostatecznym celem jego zabiegów.

Więc gospodarz postępowy jest ochotnikiem w swoim zawodzie, straconą forpocztą, nie szczędzącą siebie i poświęcającą się z dobrej woli, byle tylko główna armja odniosła ostateczne zwycięztwo.

Ale nie wiele kto dotychczas u nas zrozumieć i ocenić to potrafi.

2. Gospodarz partacz. Zarozumiałość i upór, oto główne cechy gospodarza partacza.

W innych zawodach, wśród rzemieślników i wyrobników wszelkiego rodzaju, są partacze z samowiedzą swojego partactwa, pracujący z konieczności na kawałek chleba, pomimo poczucia swojej nieudolności.

Ale największy z partaczów gospodarz wiejski, jest amatorem w swoim fachu, traktuje go *con amore,* i nikt nie byłby w stanie przekonać go, że obrawszy ten zawód, porwał się na rzeczy, o których nie miał wyobrażenia.

Posłuchajcie go tylko mówiącego: myślelibyście, że to agronom całą gębą: on zjadł wszystkie rozumy, wszystkiego próbował, a czego nie próbował, to przeczuwa intuicyjnie, słowem, wie co robi. W towarzystwie jest krzykałą, nie da nikomu przyjść do słowa, bo czując instynktowo, że zasługuje na niejeden zarzut, stara się każdy uprzedzić; więc się kręci i szasta, rozprawia i argumentuje; przy stole nie zje uczciwie zupy, nie dopije kieliszka wina, a cygaro zapala po kilkanaście razy, nie czując nawet, że je powalał w stearynie.

Jako zarozumiały i zbyt zaufany w sobie, rozpoczynając zawód, do którego jakoby jest powołany, z odwagą rzuca się jak to mówią, z motyką na słońce; mając np. trzydzieści tysięcy gotówki, kupuje dobra za sto tysięcy, będąc najmocniej przekonanym, że dług wynoszący siedmdziesiąt tysięcy spłaci w kilka lat *spiewający*: tego ćwieka nikt mu z głowy nie wyjmie.

Tymczasem, zaledwie wziął ten ciężar na swoje barki, już widzi się zmuszonym uścisnąć dłoń i pocałować w brodę (uświęcone wyrażenie) Szmula albo Judkę, a gdy tego aktu braterstwa dopełni, już jego zguba zapisana w księdze przeznaczeń i dłuższe lub krótsze konanie, zależy już tylko od pobocznych okoliczności.

Ale partacz ani myśli tego przeczuwać, zaczyna wikłać się w coraz to monstrualniejsze rachunki, liczyć na coraz nieprawdopodobniejsze rezultaty, i cała jego karjera gospodarska jest powolnem przygotowaniem do ostatecznej ruiny.

Jestto męczennik nie mający spokojnego dnia i nocy, z uporem i wytrwałością godną lepszej sprawy znoszący to dobrowolne zaiste męczeństwo.

Dobrowolne, gdyż na innem stanowisku byłby może w swojem miejscu, a chociażby nawet nie miał do inszego zdolności i powołania, to z samego procentu od kapitału, który poświęcił na ofiarę niedołężnego gospodarstwa, mógłby żyć przyzwoicie.

Ale gadaj mu o tem! on swój zawód uważa za jakąś misję, którą spełnić jest świętym jego obowiązkiem.

I spełnia ją.

W pierwszych początkach gospodaruje zawzięcie, robiąc ogromne błędy i najfałszywsze wyrachowania, ale które jeszcze zbyt dotkliwie nie dają mu się we znaki.

Po kilku latach, gdy pocałowania brody coraz mniejsze wrażenie robią na Szmulach i Judkach, zaczyna się otaczać rządcami i innymi oficjalistami kaucjonowanymi. Skoro mu się trafi podobne indywiduum, nie pyta o inne kwalifikacje i świadectwa, jak tylko ile może dać kaucji, w razie zaś gdy zmuszoy jest koniecznością wypowiedzieć służbę któremu z tych ichmościów, nie będąc w stanie zwrócić wziętej sumy, daje mu zazwyczaj mieszkanie we wsi i kawał gruntu, naturalnie za bezcen, do tego stopnia, że często brakuje izb dla ludzi roboczych i pół wsi zajmują tacy kapitaliści, istna plaga, bo dla nich najlepsza ziemia pod kartofle i jęczmień, im najpierw się uprawia rola, im pierwszym zwozi się z pola po sprzęcie, gdy fornale i parobcy dostają ogrody na jałowiznach i nie mogą się doprosić pługa do sadzenia kartofli.

Wreszcie stan gospodarstwa dochodzi do tego, że partacz zazwyczaj w drugiej połowie zimy zaczyna sprzedawać resztki zboża zostawione na gruntowe potrzeby, przez co na przednówku bieda i głód, w ostatnim kwartale przed żniwami służącym wydaje się tylko pół ordynarji, do siewu kupuje się wszystek owies naturalnie na kredyt, a dla koni na obroki otręby póki można dostać, a jak nie, to przez całe lato, fornalki pasą się nocą na trawie.

Nakoniec nadchodzą żniwa... błogosławiona chwila... o! wtenczas „kiedy jest, to szelest!“ od samego ich początku, chociaż ziarno jeszcze miękkie, młocarnia bębni dzień w dzień bez odpoczynku, rozlegając się echem po okolicznych wioskach, jaki taki usłyszawszy ten turkot, uśmiechnie się i rzeknie: „a to ten partacz młóci!“ bo w tym odgłosie znać jakoś mimowoli, że tu pilno, że tu potrzeba gwałtowna i na życie i do siewu i na sprzedaż.

Gospodarz partacz miewa przyzwyczajenia i nałogi, które pochłaniają go i są po części powodem jego partactwa.

I tak, jest gospodarz myśliwy, który wypasa psy zamiast inwentarza, cały boży dzień włóczy się z strzelbą albo jeździ z chartami. Znałem jednego z takich, który jesienią jak mógł zwlóczył z uprawą roli, dozwalając orce się zrastać, a to dla tego, że w takich miejscach *kot* lubi się trzymać.

Jest gospodarz koniarz; ten ciągle facjenduje, zmienia fornalki i cugi, i wiecznie ma szkapy najgorsze w świecie. Ileż to razy w chwilach gdy chciałby najefektowniej zaprezentować nowo nabytą czwórkę, ni ztąd ni z owąd, który z koni zacznie kuleć, albo klacz narowista niewłaściwie zaprzężona w przodach, cofaniem się i fikaniem narobi bigosu, poplącze cały zaprząg, złamie dyszel i t. p. Nazajutrz konie wracają do Jankla, w zamian za inne z mniejszemi wadami, a za do rą dopłatą.

Jest także gospodarz, jakby tu nazwać, *partyjkowicz*, włóczący się po kompanijkach i lubiący pasjami taroka albo wista. Gra tanio i nie zgrywa się, często nawet wygra, ale co czasu zmarnuje i poniesie straty przez niedozór, to nie wchodzi w rachunek. Jeden z moich znajomych mieszkający tuż blisko miasteczka i stacji kolei, tam prawie ciągle czas spędza, a gdy mu robi kto z tego zarzut, utrzymuje, że to najlepszy sposób kontrolowania ludzi, gdyż nie wiedząc nigdy na pewno, kiedy pan powróci, zawsze są czynni i na nogach.

Zresztą, u takiego gospodarza wszystko po partacku; budynki jeżeli się nie walą, to z pewnością świecą dziurami w dachach; deszcz zacieka do stodół i zboże rośnie w sąsiekach, na przednówku nie ma co słać pod inwentarz, który brodzi w kałużach gnoju, a w zimie dzwoni zębami, gdyż obór i owczarni nie ma nigdy czasu opatrzyć. Winszuję temu, co w mróz trzaskający przyjedzie do takiego jegomości na wieczór proszony, gdy się zbierze kilkanaście ekwipaży; spytajcie się furmanów, jakie to tam miłe stajnie gościnne!

Słowem gospodarz partacz biedę klepie przez całe życie, a koniec jego niezmiennie jednakowy: gospodarstwo stopniowo się rozprzęga, z dziedzictwa idzie na dzierżawę, z dzierżawy na bruk; ztamtąd, ten który zdobędzie się na energję; idzie w jaki obowiązek, często na rządcę majątku, i zdarza się nawet, o dziwo! że nauczony doświadczeniem i nie skrępowany interesami, gospodaruje daleko lepiej, niż na swojem własnem.

Ale większość, niestety, upada. Z tego to zastępu rekrutuje się legjon pasożytów, istna plaga pod postacią rezydentów, albo kwestarzy, że nie powiem żebraków, nawiedzających perjodycznie znane sobie domy lub rozpisujących do nich wzruszające listy, na których podpisują się „podupadły obywatel wiejski.“

Wszyscy oni pozują na ofiary losu, i niby aureolą otaczają się wspomnieniami dawnego stanowiska, z tego jeszcze źródła starając się czerpać środki utrzymania się, i z góry patrząc na pracowników niższej, wedle swojego widzenia rzeczy, hierarchji społecznej.

A więc zawsze upor i zarozumienie!

J. Bliziński.

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la Russie przez p. *Alfreda Rambaud*; *Histoire de la Litterature contemporain chez les Slaves*; przez p. *C. Courrière*; *Histoire de l'Autriche-Hongrie* przez p. *Ludwika Léger*.

Trzy wyżej wymienione książki tyczą ci pośrednio nas pod względem polityczno-historycznym i literacko-historycznym. Sprawozdanie z onych poprzedzimy kilkoma uwagami ogólnemi.

Do niedawna świat słowiański dla Zachodu, mianowicie zaś dla przodującej we względzie cywilizacyjnym i ton nadającej Zachodowi Francji był krainą nieznaną. Dochodziły ztamtąd wprawdzie posłuchy, ale nie bardzo pewne i wyrywkowe. Wiadomości przedstawały się za pośrednictwem Niemców. Styczność Francuzów ze Słowiańszczyzną południową, której części dosięgnął zaborczy Napoleona I. oręż, nie obudziło w nich tej ciekawości, jaką obudzić była powinna. Najlepiej stosunkowo znaną im była Polska, z którą od wieku szesnastego wiązały Francję raz słabsze, znów ściślejsze, lecz ciągłe stosunki polityczne i o której też literatura francuska posiada w liczbie znacznej relacje i prace poważniejsze. Po Polsce zajęcie największe wzbudzała w nich Moskwa. Z kolei Serbja zwróciła na siebie uwagę. Lecz jak Polska, tak Moskwa, tak Serbja rozpatrywanemi były na polu działalności politycznej, manifestującej się w danym momencie jako rezultat historycznych racji. Francuzi przeto zaglądali i do historji tych narodów, lecz do historji wyłącznie prawie politycznej nie troszcząc się zresztą niczem więcej. Życie wewnętrzne, cywilizacyjny rozwój, literatura, stanowiące o wartości przeciętnej, nie obchodziły ich zgoła. Rzeczy te okrywała zasłona, do podniesienia której nie kwapił się nikt.

Najpierwsze zasłony tej podniesienie i ukazanie Francuzom świata nieznanego stało się za sprawą Polaków. Z ust Mickiewicza, przemawiającego w charakterze profesora z katedry *Collège de France* dowiedzieli się o istnieniu w Europie narodów, nie należących do szczepów romańskiego i germańskiego i mimo to nie dzikich, ani nawet barbarzyńskich. Zaciekawiło ich to. Odtąd raz po raz pojawiać się poczynają badacze, których wywołują z pośród Francuzów dwie podniety: jedna, wynikająca z ciekawości poznania, druga, pochodząca od narodów słowiańskich, wytaczających sprawy swoje przed forum europejskie. Słowianie zachodni, Słowianie południowi, Słowianie wschodni stają jedni po drugich do apelu europejskiego ze skargami i żalami, ci na Moskwę, owi na Niemców, tamci na Turków. Francja służy im za pośredniczkę w obec sądu opinji publicznej świata ucywilizowanego.

Zrazu mocarstwa, na które Słowianie skarżyli się, żartowały sobie z opinji publicznej świata ucywilizowanego. Moskwa zwłaszcza nie robiła sobie z niej nic — nie zważała na nią zgoła. Za czasów Mikołajowskich dziennikarstwu moskiewskiemu nie było wolno wdawać się w polemikę z dziennikarstwem zagranicznem, któremu na wszelkie napaści przeszłe i przyszłe daną została raz na zawsze dumna odprawa wierszami, napisanemi przez Puszkina na rozkaz Mikołaja, pod tytułem „*Do oszczerców Rosji*“. (Klewietnikam Rasji).

„*A czom szumitie wy, narodnyje witii?*“

Do odprawy tej, wyszłej z druku w 1833 czy 4 roku, do końca panowania Mikołaja (1856) nie dodano więcej ani słowa. Na zaczepki Moskwa odpowiadała wzgardą i nie interesowała się zgoła tem, co tam wrogowie jej, mianowicie zaś Polacy, o niej mówili i pisali. Broniła się jednak przeciwko temu, ale — jak? Obstawiła się wartami do koła; zaopatrzyła się w policję wewnątrz; zarządziła sobie cenzurę i do szkół wprowadziła naukę sfałszowaną. Był to niejako chór, wtorujący odzie Puszkina. Przy ukaźnej chóru tego melodji spodziewała się Moskwa nie tylko spokojnie spać, ale także rosnąć w sławę, w wielkość i w potęgę.

Rezultaty nadzieję tę słodką zawiodły. Wojna wschodnia (1853-56) dowiodła, że wyosobnienie takie doprowadziło państwo do słabości, dla uniknienia której potrzeba chcąc nie chcąc kąpać się w europeizmie.

Mikołaj umarł; Aleksander w pawich piórach liberalizmu Europie się przedstawił: otworzył granice, popuścił cugli prasie, kazał budować koleje żelazne, ogłosił się oswobodzicielem ludu i założył w Brukselli dziennik *Nord*.

Pomiędzy wszystkiemi faktami, któremi się zaznaczyło panowanie Aleksandra II, dziennik *Nord* na szczególną zasługuje uwagę. Oznacza on przedewszystkiem ustępstwo, uznanie opinji publicznej. Ojciec nią gardził; syn ją uznał — uznał jako potęgę, z którą się liczyć należy. *Nord* stanął w charakterze ogniska polemicznego, subwencjonowanego z Petersburga a obsługiwanego przez publicystów, płatnych suto za to, żeby bronili Moskwy *per fas et nefas*.

Thiers powiedział, że „nie masz takiej złej sprawy, którąby za pieniądze obrońców nie znalazła“.

Moskwa płaciła; obrońcy się znaleźli. Ogni-

sko polemiczne stało się ogniskiem, około którego knpić się powoli poczęli ludzie, interesujący się Moskwą i wszystkiem co jej jest — wystąpili badacze natchnieni.

Pieniądze natchnienia udzielają: to aksiomat dowodzenia nie potrzebujący.

Nord zajął śród prasy europejskiej stanowisko mocne, bo grubo płatne, zrazu ignorowany przez niemieckie, francuskie, angielskie i włoskie dziennikarstwo, zyskał wkońcu kredyt, jako organ oficjalny gabinetu petersburskiego, jako tłumacz pobudek działania, zamiarów i widoków caratu, jako obrońca i zastępca jego polityczny, naukowy i artystyczny, obowiązany przysposabiać umysły do tego, co stać się ma, i kruszyć kopje za to, co się stało.

Potrzeba obrońcy takiego okazała się szczególnie praktyczną w czasie trwania i po upadku powstania polskiego, które to sprawiło, że z oblicza caratu zdarło maskę liberalizmu. Obrona wówczas grubo kosztować musiała. Wzmocniło się też ognisko. Interes w odniesieniu do Moskwy wrócił

Do tego powodu, tkwiącego w ognisku założonem w Brukselli, przybył, w lat sześć po upadku powstania polskiego nowy. Nastąpił upadek Francji; przyszła myśl odwetu, a z nią zwrot polityczny, polegający na zespoleniu interesów francuskich z interesami moskiewskiemi w obec potęgi militarnej niemieckiej. Cwieczek ten wbił Francuzom w głowy wielki Thiers i rozbudził w nich patrjotyzm, wyciągający dłonie do Moskwy. Pod wpływem patrjotyzmu tego pisały się artykuły dziennikarskie, sztuki teatralne i romanse, w których Francuzi dęli w dudy moskiewskie; pod tym też wpływem urabiali się badacze, studjujący świat słowiański i oddający apriori, gwoli *captantiam benevolentiam* przypuszczalnego sprzymierzeńca, świat ów na pastwę Moskwie, oczernianej niesłusznie przez Polaków szczególnie.

Za sprawą przeto dwóch powodów, z których jeden wyraża się pod postacią monety brzęczącej, drugi pod postacią patrjotyzmu okolicznościowego, powstała śród Francuzów nowa szkoła badaczy rzeczy słowiańskich. Szkoła ta nazwała się realistyczną i jako tako wzięła pod nóż analizy krytycznej romantyzm polski.

Dzieła, których rozbiór podajemy, do tej należą szkoły. Przystępujemy przedewszystkiem do rozbioru najstarszego z nich.

Historja Rossji, napisana przez p. Alfreda Rambaud, profesora na fakultecie literackim w Nancy, członka korespondenta akademji nauk w Petersburgu, wyszła z druku w roku przeszłym. Należy ona do kollekcji *Historji powszechnej*, wydawanej nakładem księgarni Hachette i Sp., przez stowarzyszenie profesorów i uczonych, pod dyrekcją pana V. Duruy, byłego ministra oświaty za czasów drugiego cesarstwa. Wydawnictwo to, mając na celu popularyzowanie wiedzy historycznej śród Francuzów, wypuściło już w świat dwadzieścia kilka dzieł, z tych siedm opracowanych przez samego p. Duruy. Są to kompilowane streszczenia, pomiędzy niemi jednak niektóre, jak np. Historja starożytna ludów wschodnich, p. Maspero, odznaczają się bogactwem treści i jasnością wykładu, nadającym im wysoką wartość. Tego samego nie możemy powiedzieć o Historji Rossji p. A. Rambaud, pomimo że historja ta zaszczycona została nadgrodą Akademji francuskiej. Przyznać jej można dwie zalety: potoczystość stylu i usiłowanie utrzymania się na stanowisku objektywnem i dwie te zalety przypuszczać należy, ujęły dla autora akademików, nie umiejących rozpatrywać pracy tej ze strony krytycznej. Sądzili oni o historji Rossji, jak ślepi o kolorach, nie dostrzegłszy na początku samym błędu, występującego pod tytułem: *"Cztery żony; jednolitość geograficzna Rossji*, Jednolitość upatruje autor w płaszczyźnie, obejmującej wszystko, co w chwili obecnej odnosi się do geografji politycznej, nie zwracając uwagi na to, że sprzeciwiają się jednolitości onej kierunki rzek, których łożyska stanowią naturalne gniazda rasowe i naturalne pochyłości ekonomiczne. Rzeki moskiewskie płyną w kierunku północnym i wschodnio-południowym. W łożyskach ich pomiędzy geografją a etnografją ścisły i charakterystyczny zachodzi związek, o którym autor nie wiedzieć nie mógł. Na tej osobliwości jednak nie postawił akcentu historycznego i przyjął podział narodu moskiewskiego, który nazywa *ruskim*, na trzy gałęzie: Białoruś, Małoruś i Wielka Ruś, według skazówek oficjalnych. „Wielka Ruś — słowa pana A. R. — sformowała się około starożytnej Moskwy i zajmuje miejscowość mnogich plemion fińskich i tureckich wieku IX; trzeba dołączyć do niej Ruś północną (Archangelsk), Ruś wschodnią (Wołga, Kazań, Astrachań), Nową Ruś czyli Ruś południową (Cherson, Ekaterinosław, Charków, Odessa, Krym). Wielka Ruś w całości swojej, z wyjątkiem Nowogrodu i Pskowa, jest zdobyczą kolonizacji ruskiej na rasach obcych. Kolonja pierwotnej Rusi kijowskiej, ujarzmiona chwilowo przez Tatarów, umiała wyzwolić się z jarzma tatarskiego, podczas kiedy tamta pozostawała jeszcze podległą Litwinom; zrazu nie przestawała szerzyć się ku wschodowi, następnie, zaczepnym ku zachodowi w siedmnastym i ośmnastym wieku zwrotem odzyskała Ruś Białą i Małaruś. Kolonja zdobyła napowrót metropolje swoje."

Dowcipnej tej a nie przez pana Rambaud wynalezionej teorji wytworzenia się narodowości moskiewskiej, rozszerzonej przezeń za zbyt trocha szeroko, tam bowiem nawet gdzie (Cherson, Ekaterinosław, Charków, Odessa, Krym) zajmuje ona jeno stanowisko rasy zdobywczej, do zarzucenia jest to jedno, że nigdy chyba w życiu Moskala nie widział. Gdyby był widział, a patrzał bez uprzedzenia, gdyby przestudjował w sposób porównawczy zwyczaje, obyczaje, skłonność, podania, pieśni, sposób bycia, byłby Moskwie w świecie słowiańskim wyznaczył miejsce osobne i dał jej ramy historyczne właściwe. Nie uczyniwszy tego, nie tylko że w rozdziałach wstępnych pomieszał rzeczy różnorodne pod względem przynależności plemiennej i chronologicznej (w rozd. III), ale jeszcze wpadł w błąd, którego unikają nowsi historycy moskiewscy, zaczynając historję Moskwy od sakramentalnego *„zemla nasza welika i obilna, a poriadka w niej niet."* Krytyka wykazała błędność podania tego, zapisanego w kronice Nestora, a nie stwierdzonego żadnem świadectwem wiarogodnem. Postacie Ruryka, Sineusa i Truwora są to postacie bajeczne, równie jak Kij, Szczek i Chorew, jak Oskold i Dir. Pewnemi są jeno najścia Waregów, którzy Dźwiną i Dnieprem przeciągali do Konstantynopola na służbę u cesarzów wschodnich i przeciągając łupieżyli po drodze, a łupieżąc podbijali plemiona słowiańskie. Pierwszą historyczną postacią jest Oleg, dający początek państwowej Rusi — Rusi nie zaś Moskwy. Różnica pomiędzy jedną a drugą ogromna; rzuca się w oczy od razu pod postacią antagonizmu, jaki się objawia pomiędzy Rusinami a Suzdalcami. Na tronach księstw i księstewek tu i tam zasiadają Rurykowicze; lecz trony te na jakże odmiennych stoją fundamentach! Jedność rodu panującego, jedność nawet osoby nie stanowi o jednolitości państwowej. Państwa kleją się nieraz z żywiołów różnorodnych i we względzie tym przyjmowanie faktu za rację nie może być czem innem, jeno naciąganiem tendencyjnem. W epoce podziałów Rusi pomiędzy potomków Jarosława, Ruś rzetelna rozpadła się na cztery części, ogniskujące się, jedna w Nowogrodzie, druga w Smoleńsku, trzecia w Kijowie, czwarta w Haliczu i części te mogły się zlać w państwową całość na jednej z dwóch dróg: albo na drodze przemocy dynastycznej, albo też na drodze sojuszu federalnego. Moskwa wydzieliła się i zajęła stanowisko odrębne, na którem zadanie jej państwowe było takiem samem, co zadanie wszelkich zawiązków państwowych, czy to nad Wołgą, czy nad Nilem, czy nad Gangesem. Książęta suzdalscy bezpieczniejsi na śmieciskach swoich aniżeli krewniacy ich, dzierżący udział na porzeczu dnieprowem, czynili podboje na północy, na wschodzie i na południu, równie jak i na zachodzie, na Rusi. Pan A. R. przyznaje sam, mówiąc o zatargach orężnych pomiędzy Izasławem Mścisławowiczem a Jerzym Dołgruckim, „że książęta suzdalscy, usunięci w północno-wschodnie lasy, gruntując panowanie swoje na szczątkach ras fińskich, stać się mieli bardziej a bardziej obcymi Rusi kijowskiej." Stali się obcymi w rzeczy samej; założyli państwo odrębne — moskiewskie, którego narodzin data odnosi się do wieku XII i którego obcość stwierdza Andrzej Bogolubski w r. 1169, traktując zdobyty Kijów wcale nie jako „macierz grodów ruskich," ale tak, jakby gród ów traktowali Połowce lub Tatarzy. Obcość dokumentuje się wyraźniej jeszcze nieobecnością Moskwy nad Kałką, gdzie zeszła się była Ruś cała, celem stawienia czoła pierwszemu Tatarów najazdowi. Moskwe nie poczuwała się do solidarności, nie uważała się za obowiązaną bronić dobra, które nie było jej dobrem. (C. d. n.)

ZGON WESTALKI.

Monolog tragiczny w I akcie.

przez

BRUNONĘ R.

(Scena przedstawia loch wilgotny, w nim łóżko, lampa płonąca, nieco mleka, oliwy i chleba na stole. W głębi sceny, małe drzwi zawarte. Oświetlenie słabe. Słychać uderzenia zamykające drzwi i sypanie ziemi w celu zakrycia tychże z zewnątrz a nakoniec kroki oddalających się ludzi).

WESTALKA (sama, długa pauza).
(Mówi z początku cicho, głos jej stopniowo przybiera tonu, aż przechodzi w dzikie jęki).

Słyszę zgrzyt straszny drzwi zawartych wiecznie,
Słyszę, ostatnie ziemi już spadają gruzy —
(z gorzkiem szyderstwem)
I już zamknięta jestem tu bezpiecznie,
O ludzie, wdzięczność wam za wasze trudy.
Ha! drobne piasku lecą na drzwi ziarna,
Drobne i małe, wszak to warte śmiechu,
A każde, spada, jako rozpacz czarna
I jęczy smutnie w tem grobowem echu.
Już wszystkie twoje odprawiłeś modły,
Litości wolasz, gdzież jest litość twoja
Kapłanie straszny, co sąd spełniasz podły?
Odchodzisz — słyszysz, śmierć cię woła moja!
(ze wzrastającym szałem)
Powracaj, otwórz, otwórz te zapory,
Otwórz! bo grób ten, jeszcze życiem pała!

Czy mnie rozumiesz, ja chcę wyjść z tej nory —
Jam jeszcze żywa — żywa — jeszcze cała!
(z pogardą)
Nie słyszysz — idziesz, kroki twe z oddali
Doganiam słuchem, widzę przez te ściany
Jak bardzo spieszysz, serce twe ze stali
Ogarnia przecież jakiś strach nieznany,
Ty się obawiasz, że ja tu zabita,
Stanę przed tobą, w każdej życia porze,
Gdy noc zapadnie lub gdy dzień zawita
I straszyć będę i przeklinać może.
O nie drżyj próżno, ty człowieku mały,
Jam silną jeszcze i to grób nie dla mnie!
(stara się drzwi otworzyć)
Oto w posadzie swej już drzwi zadrżały,
Potęga woli, słabe wzmacnia ramię.
(dobywa się coraz silniej lecz nadaremnie)
Tak — coraz lepiej — drzwi się uginają,
I skrzypią; jakaż to wdzięczna muzyka
W której wolności dźwięki dla mnie grają,
Czuję, już światło i powietrze wnika!
Jedno potężne dłoni uderzenie
I będę wolna, wolna i swobodna.
Nadziemskiej władzy, mnie przebiega drżenie,
Wstrząsnę, rozbiję, tę jaskinię do dna!
(uderza z całej siły lecz bezskutecznie, ponawia usiłowania)
Więc nadaremnie — siły mnie zawodzą —
Mam ginąć nędznie w tej samotnej celi,
Tutaj, gdzie nigdy blaski gwiazd nie wschodzą,
Tutaj, gdzie nigdy dzień się nie zabieli!
Zamknięta jestem, na wieki zamknięta —
Już nie ma rady — wkrótce śmierć zagości! —
Ach! jeszcze jedno, myśl mi błyska święta,
Ona mi rzuca złotą nić wolności.
(Stara się drzwi podgrzebać, odrzucając szybko ziemię. Zrywa się nagle z jękiem i w rozpaczy biega w koło szukając sposobu do wyjścia).
Kamień, opoka! o okropny losie,
Na który furje przędły mi wyroki.
Ha! gdybym miała, to zniszczenie w głosie
Co wszystkie duszy mej pożera soki!
Nigdzie otworu, więc umierać trzeba
W życia zaraniu, umrzeć, umrzeć, umrzeć,
Straszliwe słowo, zginąć z braku chleba,
Powietrza, światła! I tak młoda umrzeć!
Nigdy już dla mnie słońce rozpalone
Na niebios stropie nie zabłyśnie błogo,
Ani księżyca lice osrebrzone
Nie wnikną tutaj w oną tajń złowrogą.
(z rosnącem obłąkaniem)
Zawyjcie burze, dzikie, rozszalałe,
Palcie się groźne, błyskawicy blaski,
To może tutaj dotrą iskry małe,
I błysną dla mnie promieniami łaski.
O wstrząśnij ziemi, swoich posad węgły,
Ukrytych jaskiń ciemne rozrzuć tonie,
Niechaj w nich wszystkie blaski co się sprzęgły
Na światów szczycie, dadzą sobie dłonie. —
I jeszcze cicho, nic nie słyszę jeszcze,
Tylko w mej piersi takie burze szumią,
I tak nią szarpią cierpień ostre kleszcze,
Że wszystkie myśli i uczucia tłumią.
(ze znużeniem)
Nademną rosną świeże trawy, zioła,
Tu po nad głową, kwiat się ściele wrzosu,
Tu róża błyszczy; darmo serce woła,
Tam już nikt mego nie usłyszy głosu.
Ach, gdyby jedno, ciche wiatru tchnienie,
Gdyby głos jeden ptaka lub komara —
Gdyby głos ludzki, (ze zgrozą) mnie przejmuje drżenie,
Ha! straszni oni, a jam ich ofiara.
Nic — nic — w około trwoga tylko głucha, —
Widzę — już wszystko na świecie przepada
I już praw żadnych ziemi krąg nie słucha,
Wszędzie zwątpienie, rozpacz, wszędzie zdrada!
(siada, oglądając się trwożnie)
Jak to sklepienie mi na głowę spada!
Matko! spiewałaś nad kolebką straszną,
W której dzieciątku zawołano biada!
Zwolna już czucia w mojem sercu gasną!
Ach! jak mnie boli rozpalona głowa,
Jaki żar czuję, jakie zimne dłonie,
Jak ten ból męczy, cierpień fala nowa
Wprost ku mnie dąży, gdzież się przed nią schronię!
(patrząc silnym wzrokiem w jeden kąt)
Już idzie tutaj — chwyta mnie rękami,
W węże spowitym, wstrząsa dziko włosem!
Ty mnie nie dotknij, twoja dłoń mnie splami,
Patrz, krew jest tutaj — wołasz strasznym głosem!
Mój zwrok cię strwożył i chcesz ujść bezkarnie,
O nie, przygotuj co ku swej obronie.
(zrywa się)
Widzisz, już lecę, zaraz zginiesz marnie,
Bo ja cię schwycę, (z wytężeniem) dogonię, dogonię!
(upada ze znużenia — długa pauza)
Za co mnie karzą, czemuż mam umierać,
Wszak jam niewinna, kochać nie jest winą —
Darmo tę miłość z serca mi wydzierać,
Ona z tych uczuć, które nie przeminą!
Że Gajus piękny, cóż ja temu winna,
Ja nań patrzyłam, jak na bóstwo drogie —
Żadna z nas przy nim nie byłaby inna,
Każdą by wzięło to uczucie błogie.
I cóż ja winna, że ten głos co wzruszy
Dalekie echa, przy mnie się rozpływał
W tak słodkie dźwięki i wkradł się do duszy
Gdy ucho pieścił i serce porywał.
I cóż ja winna, że ten wzrok tak dumny,
Przy mnie tak cudne brał na siebie stroje,
Taki pogodny był i tak rozumny,
Że wziął zachwyty i pragnienia moje.
I cóż ja winna, że ten Gajus straszny,
Co dzikie łamał nieprzyjaciół roty,
Przy mnie łagodny był i taki jasny,
Że mnie dosięgły jego uczuć groty.
I cóż ja winna, że on co nawykły
Był rozkazywać, ciskać z ócz pioruny,
Przy mnie był cichy, dzikie blaski nikły
I tylko drogie sercu grały struny.
I cóż ja winna, że kochałam stale
Piękność i cnotę, dobroć i odwagę —
Choć tak mnie karzą, nie popłyną żale
Na tej miłości, szczęście i powagę.
Tego nie wydrą mi, że go kochałam,
Ni tej przeszłości, w którą dziś bogata,
Chociaż nieszczęsna, wiem, że szczęście znałam,
Jakie udziałem rzadko jest dla świata.
A przecież straszno umrzeć tak okrutnie,
Umrzeć, gdy życie ledwie się rozkwita,
I przywitawszy, zaraz żegnać smutnie —
Zginę, nim dla mnie trzeci dzień zaświta.
Ach! mój Gajusie, co się z tobą dzieje,
Tobie wydarto kwiat twój ukochany,
O nie płacz za mną, niechaj łzy rozwieje
Łagodny wietrzyk z moich westchnień zwiany.
Mój ty najdroższy, nie zobaczę ciebie
Już nigdy tutaj, na tym nędznym świecie,
Lecz wiem to, Gaju, że po mym pogrzebie,
Kiedyś radości my ujrzymy kwiecie.
Dzisiaj w tę drogę szłam bez pożegnania
I rozpacz tylko, poszła ze mną głucha,
Tutaj w ten zimny, wieczny kraj wygnania,
Więc w niej dziś witam mej boleści druha.
Ha! wy umieli tak dokonać zbrodni,
By mnie mój Gajus, wydrzeć wam nie zdołał —
O wy sędziowie, miana katów godni,
Darmo by u was kto litości wołał.
Więc i mnie litość nie uwiedzie żadna,
I dziś wam rzucam klątwę jadowitą,
Straszną i ciemną jak ta nora zdradna,
Groźną, sumienia wężami spowitą.
Niechaj wam wyraz każdy wyrzeczony,
Uwięźnie w gardle i przypomni słowo
Co jako piorun z waszych ust rzucony,
Stał się tą winą, którą płacę głową.
Niechaj wam chwila każda przypomina
Moje cierpienie, niechaj postać dzika
Wciąż przy was stoi, waszą myśl ugina
I gnębiąc ducha, serce wam przenika.
Niechaj gdy we śnie spocząć zażądacie,
Podąża szybko śmierci blada mara,
I gdy znużone oczy zawrzeć macie,
Niech przy was czyha jak Eumenid kara.
I niechaj póty dręczy to wspomnienie,
I póty każdą siłę wam wypija,
Aż z serca wydrze wszelkie życia drżenie
I jadem struje, jak podstępna żmija.
Tę groźbę głośną, jak pantery wycie,
Jako lwa ryki w afrykańskim lesie,
Rzucam wam w zamian za stracone życie,
Za te cierpienia, które śmierć mi niesie.
Ja wam pokoju nie dam i po śmierci —
Umrę, lecz z wami codzień ze snu wstanę
I będę serce szarpać wam na ćwierci,
I w duszę wlewać bole dziś nieznane.
To zemsta będzie, zemsta, której siła
Wyżej wypłynie po nad siły ludzi —
Ach! jak ta zemsta jak muzyka miła,
Szaloną radość w głębiach duszy budzi.
I już nie jestem słabą i cierpiącą,
Jakaś potęga w myśli mej powstaje
I wiedzie siłą namiętności wrzącą,
W jakieś nieznane i dalekie kraje.
Kto to powiedział, że to zimna nora,
Że tutaj ciasno, ciemno i wilgotnie,
Że dla mnie wkrótce ta uadejdzie pora,
W której śmierć sroga mojej głowy dotknie.
(śmiejąc się nieprzytomnie)
Ja widzę kraje, gdzie wieczyste słońce
Świeci i piękność, swą rozsiewa w koło,
Ja widzę gwiazdy co jak szczęścia gońce
Na moje idą odpoczywać czoło.
Jakiż wir szybki, chwyta mnie i staje,
I w uchu dzwoni piosnkę przerywaną,
I znowu leci, znów spoczynek daje,
A ciągle ludzi piosnką swą nieznaną.
Oto mam kwiatek, mały, niebłyszczący —
Spójrzę a kwiatek rośnie i tak szumi
Jako alpejski strumień szybki, rwiący,
Co wszystkie głosy w koło siebie tłumi.
Blady i mały ognik tutaj płonie,
Zda się, że zgaśnie, wołam — i wykwita
W płomień ogromny, a palące tonie
Ku mnie rzucają promień, co mnie wita.
(coraz ciszej)
Jak te światełka płonące
Lecą i lecą i lecą,
Jak te ogniki błyszczące
Świecą i świecą i świecą,
W wirze szalonym, zawrotnym
Kręcą sie, kręcą i kręcą,
I blaskiem swoim sto[illegible]
Nęcą i nęcą i nęc[illegible]
(Usypia — c[illegible]

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XX.

Federico filozofem.

Federico rzeczywiście był w najdoskonalszym humorze. Skoro dogonił tylko swych dwu przyjaciół i Gabriellę, i zapytał o panią Tranquillinę, która wraz z doktorem Rocco poszła na wieś, nie był w stanie wobec tych dwu par oczu, skierowanych na niego z takim niepokojem, oprzeć się pokusie pocieszenia:

— Czytam w waszych sercach; wiem dla czegoście tu przybyli.

— Rzeczywiście? — rzekł Gioachino spoglądając na Gabriellę, która przyglądała się uważnie wczesnemu kwiatkowi wyrosłemu w inspektach.

— Rzeczywiście; tyś tu przybył, bom ci winien pięć tysięcy lirów, a ty Romolo, boś mi pożyczył dziesięć tysięcy; bądźcie pewni, że wam oddam do ostatniego grosza...

— Tak sądzisz? — przerwał mu Romolo.

— Tak sądzę! — Szczerze mówiąc zasłużyliście na nauczkę, boście pożyczali przyjacielowi pieniędzy nie zahypotekowawszy ich sobie na jego posiadłości; tylko, żeście się dostali w uczciwe ręce i możecie się pocieszyć, bo pieniądze wasze tak są pewne jakby były zapisane olbrzymiemi literami w księgach hipotecznych.

— Ależ ja... począł Gioachino.

— Powinieneś to wiedzieć, że Federico nie należy do gatunku tych, co żyją z ciężkiego potu innych.

— Ja się tam nigdy nie pociłem—zapewniał Romolo.

— Ani ja — dołączył Gioachino.

— To obojętne; pieniądz reprezentuje pracę; pewni demokraci, którzy kredytem radziby ratować społeczeństwo a zawsze noszą na ustach równość wszystkich, są, powiedziałbym, właśnie tyranami tego społeczeństwa, bo w gruncie rzeczy wszelki dług odpowiada pewnej ilości nie zapłaconej pracy.

Federico śmiał się wygłaszając te tak poważne teorje i bezprzestannie patrzał na Gabriellę, pochyloną i nie odwracającą ani na chwilę oczu od kwiatka.

— Czy wolno mi teraz coś powiedzieć? — spytał Gioachino.

— Proszę.

— Przedewszystkiem należy przywrócić równowagę. Pożyczyłeś od Romola dziesięć tysięcy a odemnie tylko pięć; weźże odemnie zaraz drugie pięć... potem się już co do tego porozu-[illegible]emy...

[illegible] Czemu pani tak uważnie przyglądasz się [illegible]owi? — spytał Federico, zwrócony

[illegible] podobny jest niezmiernie [illegible]działa Gabriella z roztar-[illegible]ie opuszczała koło swych

[illegible]niem wątek myśli wi-[illegible]alej, bo nie zwracała [illegible]cych.

— O czem pani tak myśli, panno Gabriello?

— Mama idzie — odpowiedziała dziewczyna z nagłem ożywieniem — chodźmy naprzeciw niej— i szybko podążyła przodem. Federico, który chciał jej podać ramię znalazł się naraz między dwoma przyjaciołmi.

— No i cóż? — spytał wesoło.

— I cóż?

— Nic... to jest: mylicie się; na uspokojenie wasze wiedzcież, że nie mam najmniejszego zamiaru odbierania sobie życia; znudzeni dla odmiany czasami może popełniają samobójstwo, czasami także ci, co prześnili jakiś sen piękny i nagle zeń się zbudzić są zmuszeni; co do mnie, nigdym w życiu nie śnił snów takich, za to nudziłem się okropnie, ale teraz już się nie nudzę.

— Jakże zamierzasz żyć odtąd?

— Spytajcie panny Gabrielli — odpowiedział Federico, który tymczasem zrównał się już był z doktorem Rocco i jego rodziną; — będę zbierał czerwone i białe krzemienie, hodował kwiaty, zaprowadzał jedwabniki i szukał mego ukrytego skarbu.

— Więc ciągle jeszcze myślisz pan o swym skarbie? — spytała Gabriella.

— Więcej niż kiedykolwiek — odpowiedział Federico; po obiedzie każę rozpocząć kopanie czwartego dołu — proszę abyście państwo pierwsze uderzenie rydla zechcieli uczcić swą obecnością, to mi przyniesie szczęście.

Gioachino i Romolo spójrzeli przy tych słowach sobie w twarze jak dwaj augury, ale twarze ich nie rozjaśniły się, teraz już bowiem byli przekonani o słuszności swych domysłów.

Wspomnienie obiadu bardzo przyjemnie podziałało na doktora Rocco, bo ranna przejażdżka i niespodzianie pomyślny przebieg rzeczy dodały mu nieopisanego apetytu.

Na pociechę jedynego zdrowego organu doktora i by mu nieco czas skrócić, oprowadził Federico swych gości po całym domu i pokazał im przeznaczone dla każdego pokoje.

Przyczem okazało się, że ten roztrzepaniec tak niepraktyczny, który, jak się zdawało, o nic w świecie się nie troszczył, obmyślił wszystko jak nadoskonalej.

— Przecież dziś wieczorem wracamy do domu? — spytała Gabriella.

— O, nie, pani — odpowiedział Federico — państwo tu przenocują — nieprawdaż doktorze?

Doktor Rocco, który nie mógł sobie czegoś lepszego życzyć, z godnością poddał się losowi.

Obiad był nietylko, jak powiedział gospodarz, wesołością gości okraszony, ale śmiało zasługiwał na miano lukullusowej uczty, z powodu wytworności i obfitości potraw. Zkąd wziął Federico czas pomyślenia i zaradzenia temu wszystkiemu? To było dla obu starych jego przyjaciół nierozwiązaną zagadką.

U stołu sam niemal wyłącznie wziął na siebie prowadzenie rozmowy; gawędził bezprzestannie prawie a najczęściej o sobie samym, to wystawiając siebie w najgorszych barwach, to podając się za cel pocisków dowcipu swym gościom. Rozwijał w tej mierze istną przebiegłość dyplomaty, aby rozmowę, w koło czego niebądź zawsze skierować na siebie.

Tak też udało mu się wywołać pytanie: czy rzeczywiście wierzy w to, że znajdzie ów skarb ukryty na co odpowiedział jak najpoważniej:

— Wszyscy mamy jakieś ukryte skarby; mnie udało się wreszcie mój wynaleść. Przypominacie sobie jeszcze, żem był znudzony jak głupiec a niekontent z siebie jak filozof? Brakowało mi czegoś a nie wiedziałem czego, teraz wiem: brak mi było samego siebie.

— Czyż możliwe? — rzekł Gioachino.

— Nagle pchnięto mnie — kto mnie pchnął, nie wiem, w towarzystwo; cóżem tam znalazł? głupotę opiętą w rękawiczki, próżniactwo, nurzające się w błędach i orgjach a podstawą wszystkiego: pustkę, niewiarę. Robiłem więc jak inni. Czasami uderzałem się w czoło i pytałem siebie: „czego ty pragniesz jeszcze? dokąd dążysz?“ I nic nie pragnąłem, bom nie wiedział gdzie idę. Dziś oczy mi się otwarły i pojmuję wreszcie, że paląc bezczynnie hawańskie cygaro, *bezwiednie* kochałem pracę; że podczas gdy życie moje schodziło bezużytecznie dla mnie i innych, oparte na fałszu i pozbawione uczuć, serce pozostało dostępnem dla wszystkiego co dobre, dla prawdy, dla miłości.

— I zawsze *bezwiednie?* — pytał doktor Rocco pilnie zagryzając.

— Zawsze. Nakoniec upadł bank ludowy a czas już był największy; bo gdyby on się był ostał, ja byłbym musiał upaść! Teraz odnalazłem samego siebie i to mnie czyni szczęśliwym.

Czworo oczu skierowało się na Gabriellę, która idąc za przykładem ojca nie podnosiła oczu od talerza.

— Rozejrzyjmy się po świecie — zawołał Gioachino z wzrastającym zapałem, ileż to ukrytych skarbów. Pod każdą zewnątrz grzechu, złego skorupą kryje się niewidzialna, na jaw nie wywiedziona tylko cnota, pod każdą słabością, siła. Ktoby zliczył intelektualne i moralne skarby, co nieznane drzemią gdzieś w sercach i głowach ludzi, ten musiałby przyznać, że ludzie chcą tylko być żebrakami mogąc być Krezusami.

— Jeśli mówimy — zauważył dalej innym już tonem Gioachino — o jakimś łotrze, że *w gruncie* jest on poczciwym człowiekiem, to mamy na myśli właśnie te jego ukryte skarby. A że skarb tem jest cenniejszy im głębiej bywa ukryty, nie omylilibyśmy się przeto szukając najczystszej wody brylantów na galerach.

Wszyscy zaśmieli się, Federico z nimi razem, po chwili przecież podjął:

— Czy powątpiewasz o tem, że nasza cywilizacja jest wyższą od średniowiecznej, rzymskiej, greckiej i egipskiej, cokolwiek bądź można by było powiedzieć na pochwałę przeszłości?

Jak wiemy Gioachino nigdy o tem nie powątpiewał.

— A przecież—ciągnął mówca z zdwojonym zapałem—a przecież ludzie są i pozostaną takimiż samymi. Czemże więc innem jest cywilizacja jeśli nie kopalnią, która coraz to więcej duchowych i moralnych skarbów drzemiących w ludzkiej naturze wyprowadzana na światło dzienne? Zdaje mi się więc, że gdyby dziś wszyscy ludzie świata zjednoczyli swe siły, gdyby leniwi zabrali się do pracy, powierzchowni do rozwagi, nieuczy do kształcenia się, grzeszni do poprawy, czyż wówczas te wprowadzone nagle w działalność siły ludzkości nie popchnęłyby wkrótce świata o tysiąc lat naprzód?

Rozmowa toczyła się tak jeszcze czas niejaki w koło tegoż samego przedmiotu; Gioachino illustrował temat abstrakcyjny różnego rodzaju warjacjami, aż Federico przy deserze doszedł do konkretnych dyskusji wyników.

— Pewnem jest bezspornie na przykład — rzekł, że Romolo, który doszedł wieku dębu a

przecież pozostał tak pustym wewnątrz i kruchym jak trzcina, posiada w sobie wszystkie celniejsze własności i przymioty duchownego: mianowicie wysokość kościoła, kompletną niedbałość o wszelkie formy, pargaminowy uśmiech ponad wchodowemi drzwiami, wielki ołtarz w piersi i wonie kadzidła w chustce do nosa.

— A ja? — spytał Gioachino.

Federico przecież, który przez odwrotne zastosowanie swych teorji gości swych pobudził do śmiechu, chcąc uratować swą teorję oświadczył, że twierdzenie jego było żartem.

— Romolo raczej jest chybionym patrjarchą rzekł: ten bezżeny, długi, wychudły mężczyzna nie jest czem innem jak chodzącem widmem małżonka, ojca, dziadka. Rzucił żonę, dzieci swe i wnuki zgładził ze świata; prawdziwie, ktoby go widział jak z niewinną miną tłucze w palcach migdał w łupince wziąłby go za najzgodniejszego, najspokojniejszego w świecie człowieka a przecież to okrutna, wyrzutami sumienia dręczona dusza. Popatrzcie państwo na niego! Nikt nad niego więcej od natury już w tym celu nie był lepiej uposażonym. Nie sąż te długie ramiona sposobne do objęcia uściskiem całej rodziny dzieci i wnuków; on przecież na przekór wyrokom opatrzności pozostał kawalerem, przeklinanym od wszystkich tych generacji, którym winien został życie.

— A ja? — spytał raz jeszcze Gioachino, dobrowolnie poddając się pod nóż ofiarny.

Ale Federico nie zważał na niego, tylko odwrócił się do „najpiękniejszej w świecie dziewczyny,“ co się doń uśmiechała z drugiego końca stołu przyjaźnie.

— Pani, panno Gabriello, możesz być spokojną, pani ukryte skarby wejdą w obieg niezawodnie; jesteś pani tak surową z poczucia sprawiedliwości, pewien jestem, że z czasem łagodniejsze usposobienie utoruje sobie drogę do serca pani bo wyrozumiałość tak konieczną jest obok sprawiedliwości. Toż uczyniłaś już pani krok w tym kierunku nietylko wybaczając ale nawet ofiarując swą przyjaźń człowiekowi, który był tyle nieszczęśliwym, że od pierwszej chwili wzbudził w pani antypatję.

Gabriella nie przeczuwała bynajmniej tego, co zajść miało, skoro wszakże spostrzegła, że młody człowiek powstał z swego miejsca i podchodził do niej, pojęła o co chodzi i twarz jej oblał purpurowy rumieniec.

— Pani Tranquillino, doktorze Rocco — rzekł Federico cokolwiek zakłopotany — zechciejcie nakazać córce swej bez zwłoki wypłacenie mi pierwszej raty mej należności.

— Brawo! — zawołali Romolo i Gioachino jednogłośnie.

Ojciec i matka śmieli się.

— Tu jest rewers — ciągnął Federico okazując jeden z bonów.

Ani jeden głos nie podniósł się przeciw temu śmiałemu zamysłowi.

Gabriella uczuła w głowie, w sercu, we krwi potężne jakieś niepojęte wzruszenie, potem zdało się jej, że w koło stała się cisza, przerażająca jakaś cisza, że blada poważna twarz młodego mężczyzny pochyliła się nad jej twarzą — potem poczuła gorący oddech na swych ustach — nakoniec wesołe oklaski uderzyły o jej ucho i zdało się jej, że prześniła sen jakiś z otwartemi oczyma.

Federico stał przed nią blady strasznie i widocznie wzruszony; inni się śmieli.

Teraz i ona się zaśmiała, przetarła serwetą usta, by wszelki ślad zniweczyć i wzięła z ręki ojca wypłacony bon, by go z najpoważniejszą w świecie miną podrzeć na tysiąc strzępków, wszystko to robiła aby się wydać swobodną; gdy przecież oczy podniosła by spotkać wzrok, który nieprzerwanie czuła ciążący na sobie, wyczytała jak w otwartej księdze.

— O Boże, on mnie kocha! — pomyślała i ramieniem otoczyła szyję matki, by ukryć swe pomięszanie.

ROZDZIAŁ XXI.

Młoda dziewczyna u okna, młody człowiek za szpalerem i księżyc.

Po skończonym obiedzie postanowiono odbyć przechadzkę po ogrodzie. Gabriella zawsze trzymała się obok matki i podawała jej rękę z uprzejmością światowego młodzieńca, z obawy tylko by pan Federico, gdyby mu myśl podobna przyszła do głowy, nie zbliżył się do niej i pod jakimbądź pozorem nie zażądał dalszej wypłaty rachunku.

Biedaczka rozmawiała i śmiała się, a więcej jeszcze śmiała jak mówiła często bez wszelkiego powodu, czasami nawet w najniewłaściwszem miejscu, ponieważ w tem wzruszeniu wciąż jedna tylko myśl majaczyła jej w głowie. „O, Boże, on mnie kocha.“

A gdy posłyszała za sobą kroki, stawała, boć uciec już nie mogła, nie oglądając się po za siebie z bijącem sercem i pokazywała matce jakie piękne drzewo w pobliżu albo jakiś ładny domek na szczycie dalekiego pagórka, a myślała przytem: nadchodzi! to on! Kto wie co mi powie teraz!

Ale był to bądź Gioachino bądź Romolo.

Jakże chętnie byłaby zapytała: Gdzież pozostał pan Federico! — Tegoż samego ranka jeszcze nie byłaby w tem widziała nic złego; teraz przecież gdy niezatartemi głoskami wypisał się na jej ustach jego pocałunek!...

Mimowiednie weszła w to stadjum stosunków między mężczyzną a kobietą, w którem obojętność by być prawdopodobniejszą sądzi, że nałożyć musi maskę zapomnienia i przez to jeszcze nieprawdopodobniejszą się wydaje.

Na szczęście spytała pani Tranquillina:

— Gdzież ojciec?

— Pozostał z Federikiem, który mu z niezrównaną obojętnością i swobodą opowiada przebieg swego bankructwa.

— Idą już — dodał Gioachino; — jak żywo gestykuluje Federico.

Gabriella zaraz się uspokoiła, zauważywszy, że Federico widocznie zajęty był tylko doktorem, którego zabawiał z całą gościnnością. To ją taką natchnęło pewnością, że podeszła kilka kroków zaledwie od nich obu a nawet tam gdzie schodziły się drogi, którędy musieli przechodzić zatrzymała się nieumyślnie niby, ale ten niegodziwy Federico przeszedł najspokojniej, puszczając przodem ojca.

Młoda dziewczyna odwróciła się z wyrazem twarzy, który nieukrywane zdradzał zdziwienie, tajemnicza para jednak przeszła spokojnie dalej, nie zwracając na nią zupełnie uwagi.

Gabriella powzięła wówczas nagłe postanowienie: pobiegła za obydwoma i bez wielkich ceremonji wsunęła się naraz klinem między obu; była pewną, że obaj panowie powitają ją śmiechem, pan Federico przecież uśmiechnął się dość wymuszenie a ten niegodziwy ojciec spytał krótko czy matka ma szal. Że zaś Tranquillina nie włożyła szala i że jawną lekkomyślnością było dowierzać łagodności powietrza w lutym, przezorny doktor przeto prosił córkę by poszła przynieść szal matce.

Słowem, same zagadkowe zjawiska.

Aż wreszcie przyszła chwila, w której Gabriella nagle zamyśliwszy się przyszła do przekonania, że na przekor owej wielkiej obawie przed pewną rozmową, od kwadransa nie myślała o niczem innem jak o zejściu się z Federikiem.

Chciała mu powiedzieć mianowicie, że inżynier Enea... to jest nie, że ojciec... albo raczej, że matka... jednem słowem chciała mu dać do zrozumienia by się przypadkowo w niej nie zakochał, ponieważ nie jest już wolną.

To udało się jej wreszcie, gdy najmniej spodziewała się właśnie, a było to zasługą doktora, który swą córkę powierzył opiece Federica a sam pospieszył żonę i przyjaciół napędzić groźbą reumatyzmu do domu.

Rzecz dziwna! Federico nie podał ramienia Gabrielli, ona przecież wsunęła swą rękę bez wahania.

— Śliczny wieczór! — poczęła dość wyraźnie niezadowolona z tego, że musi rozmowę rozpoczynać tak banalnym frazesem.

— W samej rzeczy prześliczny wieczór...— odpowiedział jej — tylko, że owe chmury na północy nie wróżą nic dobrego.

— Cóż one zapowiadają, pańskiem zdaniem?

— Nie zdziwiłbym się gdyby jutro spadł śnieg.

— Jutro nie może śnieg padać — rzekła Gabriella bo musimy odjechać.

Tu bardzo dobrze można było umieścić westchnienie, Federico przecież pozostał niewzruszony.

Milczeli chwilkę, potem Gabriella zawołała obejrzawszy się w koło:

— Co za spokój!

— Co za spokój! — powtórzył Federico.

— Jaki pan będziesz szczęśliwy pozostając zawsze w tak czarownem otoczeniu wśród gór, w pobliżu tego majestatycznego spokojem jeziora!

Federico nic nie odpowiedział.

— Jestżeś pan jednak tego pewien, że będziesz szczęśliwym? — ciągnęła dziewczyna.

— Tak, bo będę tyle rozsądnym, że szczęścia mego nie będę się domagał od gór, od jeziora, te bowiem mogłyby mi je zapewnić na kwandrans zaledwie; będę go szukał w ogrod... i u moich złotowłosych ulubieńców.

— Złotowłosych ulubieńców?...

— Mówię o moich krzemie... rzeczy zadawalniają człowieka, wi... walniają go nigdy. Tajemnica z... ścia zamknięta jest w szkatułce... łupiny orzecha.

Dziewczę zamilkło n... tem podniosło uśmiech...

— Obawiam s... ście nie mi... Kto je... du...

rico — kto nie pragnie, jest rozleniwiony życiem, a lenistwo ducha nie daje szczęścia; pragnienia tylko użyczają życiu skrzydeł. W dążeniu do jakiegoś pochwytnego dobra leży prawdziwe szczęście. Musimy przecież spokojnym, nieprzerwanym lotem przemierzyć życie; kto pozostaje w tyle, umiera, kto za wysoko, za daleko dąży — zgubiony.

Wstęp ten odpowiadał temu, co myślała Gabriella, końca przecież brakło mu zupełnie.

— Nie kocha mnie! — pomyślała wreszcie — i *tak* dobrze.

Zciemniło się; oboje młodzi ludzie od chwili już umilkli, nie spostrzegłszy tego sami, gdy naraz Gabriella posłyszała, że ktoś zawołał jej imię od strony willi.

Chciała iść w tę stronę, stanęła przecież nagle, bo ją dobiegło głośne westchnienie.

— Czy to pan westchnąłeś tak głęboko? — spytała odwracając się — przestraszyłeś mnie pan, doprawdy.

Federico roześmiał się głośno, a dziewczyna pobiegła naprzód długą aleą i wyszeptała: „On mnie nie kocha“.

We dwie godziny później głębokie milczenie spowiło rozległy krajobraz.

Gabriella przystąpiła do okna i stała w niem chwil kilka nieruchomie, zatopiona w tak niezwykłym dla niej widoku; zdało się jej tak nieprawdopodobnem, że w miejsce okien na *vis-à-vis* ma przed sobą szeroką przestrzeń w pośrodku z jeziorem, którego oblicze równie było pomarszczonem jak twarze starych jej przyjaciół, którzy tak ją lubili...,

Czemu ci obaj starzy tak są do niej przywiązani!

A gdy wzrok jej padł dalej jeszcze, widziała śnieżne gór szczyty; i to byli poważni starce i zdało się jej, że wznoszą białe swe głowy i z jakiemś serdecznem uczuciem życzliwości, przemawiają do niej: pozostań tu, nie powinnaś nas opuszczać!

A jednak was opuszczę, odpowiedziała, i to już jutro, bo w Medjolanie jest jakiś inżynier, co na mnie oczekuje.

Z wysokości niebios spogląda księżyc i odzwierciedla się w jeziorze; naraz zazdrosny wietrzyk zasłania jego oblicze ponurą chmur oponą, ale on ucieka, wyzwala się i znowu nieruchomy staje przed zwierciadłem.

Jaki piękny ten księżyc, a jak smutnie patrzy! Biedak, może zakochany w słońcu, a to rade nie rade musi zaślubić inżyniera...

Co to było? Coś zaszeleściało tam w szpa- ... ezawodnie ktoś się tam ukrył... kto to

... nię! — ozwało się cicho jak west- ... ku oknu.

... ystko, bo dziewczę przejęte na- ... ło okno i rzuciło się na sofę.

... owu się podniosła i spoj- ... już północ i nie miała ... w świecę przystąpić ... wła, że cień ... iknął.

... r-

Piśmiennictwo polskie.

Kosmos za rok 1878.

Ze sprawozdania o piątem walnem posiedzeniu towarzystwa Przyrodników, dowiadujemy się o działalności jego w roku 1877. Ogólna liczba członków wynosiła 145. Co dwa tygodnie za wyjątkiem czasu ferjalnego, odbywały się zwykłe posiedzenia, w zabudowaniu uniwersyteckiem, w jednej z większych sal wykładowych. Porządek tych posiedzeń znany jest czytelnikom „Tygodnia“ ze sprawozdań umieszczanych w kronikach tego czasopisma. Zwykle po dłuższym jednym odczycie, często objaśnianym licznemi doświadczeniami, było jeszcze kilka krótszych komunikacji z postępów wiedzy przyrodniczej, nad którem wywiązywała się ogólna dyskusja. Raz do roku, w letniej porze odbywa się wspólna wycieczka, do zajmujących okolic Galicji. W r. 1877, Lubień ze swemi źródłami siarkowemi i jego otoczenie, były przedmiotem wycieczek.

Stan finansowy Towarzystwa, jak na nasze stosunki był bardzo dobry, albowiem z dochodu pokryto zupełnie zwykłe wydatki i druk czasopisma „Kosmos“, które członkom daje się bezpłatnie. Oprócz tego prenumeratorów nieczłonków miano 106 w Galicji, Królestwie z Litwą i Poznańskiem.

Cel towarzystwa imienia Kopernika, został ściśle i wybornie określony na walnem posiedzeniu w przemówieniu wstępnem prezesa, prof. Radziszewskiego. Na zebraniach, powiedział sz. profesor, członkowie przedstawiają nie tylko swe własne zdobycze, ale oraz streszczają i poddają pod dyskusję najważniejsze momenta nauk, którym się wyłącznie poświęcają. W ten sposób, każdy może z łatwością utrzymać bezpośredni związek ze spokrewnionemi naukami, a mając gotową i chętną krytykę swych poglądów nabiera należytego poszanowania dla prac równorzędnych, lubo w innym kierunku wykonanych, zabezpiecza się przeto od jednostronności w sądzie i przecenianiu doniosłości tej nauki, którą sobie upodobał. Prócz tych celów wciągnęło Towarzystwo do zakresu swego badanie przyrody kraju ojczystego i kilka cennych prac w tym kierunku znajduje się w rocznikach Kosmosu.

Reprezentantem Towarzystwa na zewnątrz, jest właśnie to czasopismo i jemu chcemy poświęcić słów kilka. Mamy przed sobą kompletny rocznik za r. 1878. Jestto spory tom, o 486 str. złożony z dwunastu miesięcznych zeszytów. Redaktorem jest profesor chemji na Uniwersytecie lwowskim, Dr. Bronisław Radziszewski, znany w świecie naukowym z wielu prac oryginalnych i pełnych doniosłości. Już z pobieżnego przejrzenia tego rocznika Kosmosu, widać od razu wybitną tendencję czasopisma. Wszystkie rozprawy są oryginalne i przez Polaków napisane. Niemasz ani jednego artykułu tłumaczonego z obcych badaczy.

Przez cały ciąg rocznika, spotykamy się ciągle z rozprawami p. Zygmunta Wróblewskiego, z dziedziny fizyki, zajmującemi jedno z miejsc najwybitniejszych w Kosmosie. Pan Wróblewski jest docentem fizyki przy uniwersytecie Strasburskim i od lat kilku zajmuje się specjalnie gałęzią tej nauki, traktującą o prawach, podług których gazy rozchodzą się w ciałach ciepłych, napół stałych i stałych. Taki jest tytuł jego głównej rozprawy drukowanej po niemiecku w „Annalen der Physik und Chemie“ Wiedemana a po polsku w „Kosmosie“. Rozprawa ta obszerna i pełna nowych faktów zasługuje na szczególniejszą uwagę, tak co do treści, jak i co do formy, w której została przedstawioną. Wiadomo, że ciecze pozostawione w otwartych naczyniach pochłaniają gazy wchodzące w skład otaczającej ich atmosfery. Zajmowano się od przeszłego wieku zbadaniem tego zjawiska, a kierunek prac zmierzał ku oznaczeniu ilości gazu, który przy danych warunkach przez ciecze mógł być pochłaniany! Pan Wróblewski poszedł w innym kierunku i zwrócił szczególną uwagę na znalezienie praw, według których gazy w ciałach innego stanu rozchodzą się i po szeregu doświadczeń wyprowadził ogólne prawo brzmiące dosłownie:

„Gazy będąc pochłanianemi, rozchodzą się w ciele pochłaniającem według tych samych praw, podług których rozchodzi się ciepło w ciałach stałych, a to bez względu na to, czy pochłaniające ciało jest płynem, czy stałem, czy też znajduje się w pewnym, przechodowym stanie skupienia, jaki między powyższemi skrajnościami daje się utworzyć.“

Wyjątki od tego prawa należy przypisać jedynie wichrzącemu działaniu siły ciężkości.

Analogja ta między rozchodzeniem się ciepła a gazów jest zadziwiającą i prawdopodobnie otworzy szerokie pole do dalszych badań w tym kierunku. W rozprawie swej p. Wróblewski wychodzi z prawa Biota i Fouriera co do rozchodzenia się ciepła w ciałach stałych, przegląda prace w dziedzinie dyffuzji, podobne do zamierzonej przez niego, i przechodzi do opisu własnych doświadczeń, stwierdzających ogólne prawo.

Jestto praca ściśle naukowa w całem tego słowa znaczeniu, a posiadająca obok tego, tę ważną zaletę, iż nawet niespecjalista może ją z zajęciem przeczytać — napisaną jest bowiem popularnie i nie przeładowana zbytecznym aparatem naukowym. Takich prac niech Kosmos daje co najwięcej.

W tymże samym roczniku znajdujemy jeszcze dwa krótsze artykuły pana Wróblewskiego tyczące się tej samej materji, z których jeden traktuje „O ilości stałej rozchodzenia się bezwodnika kwasu węglowego w czystej wodzie“, a drugi jest artykułem polemicznym z panem L. Birkenmajerem, parującym z werwą niektóre zarzuty tyczące się rozprawy p. Wr. o dyfuzji gazów.

Oprócz tego spotykamy w jednym z ostatnich zeszytów rozprawę pana Wr. „o prawach na których opiera się mikrofonja.“ Jestto streszczenie rezultatów, zebranych w ostatnim roku co do teorji mikrofonu. Autor zestawia dwa prawa, mające objaśnić działanie mikrofonu. Jedno z nich powiada, że: fale dźwiękowe trafiając o mikrofon, a w szczególności o miejsce zetknięcia się kawałków koksu, nie przerywają ani na chwilę krążącego prądu, zmieniają ciśnienie, a przez to i elektryczny opór między odzielnemi częściami łącznika w ten sposób, że natężenie prądu przebiegającego przez mikrofon podlega zmianom, prąd staje się falistym i w takim stanie wywołuje on powtórzenie dźwięków w telefonie Bella.

To pierwszo prawo jest bez zarzutu.

Drugie brzmi dosłownie: Energja działania fali dźwiękowej na przesyłacz nie znajduje się w *żadnym* stosunku do energji procesu zachodzącego w obieraczu.

Jakkolwiek prawo to wypowiedziane zostało przez Clerka Maxwella, jednakowoż nie wahamy się twierdzić iż nie jest ścisłem.

Pan Wróblewski objaśnia to prawo popularnie w następujący sposób. Przypuśćmy, powiada, iż mamy nabitą armatę, która ma być wystrzeloną, lub też minę za pomocą której ma być wysadzoną w powietrze kawał wału fortecznego. Bezpośrednią przyczyną jak wystrzału armaty, tak też i działania miny jest rzeczywiście iskra zapalająca proch. Lecz ilość energji zawarta w tej iskrze nie znajduje się w żadnym stosunku do ilości energji wywołanego przez nią skutku. Iskra wywiązuje tu tylko energję skupioną w ładunku armaty lub miny. Prąd ma tu odgrywać rolę prochu, a mikrofon ma dawać iskrę pobudzającą. Jednakże tak nie jest, bo mikrofon zmienia tylko natężenie przebiegającego prądu, wskutek mniejszego, lub większego natężenia ciśnienia między kawałkami koksu, jeżeli więc fale dźwięczne następujące po sobie będą miały większą siłę, chociaż iść będą w tym samym porządku, i w tej samej wysokości tonu, to różnice między najsłabszem a najsilniejszem ciśnieniem będą większe i amplituda drgań stanie się większą niż w odbieraczu Bella. Więc w granicach pewnych, energja procesu w odbieraczu, *jest* w stosunku z energją fali dźwiękowej działającej na przesyłacz. Stwierdzić to łatwo możemy przy przesyłaniu mowy. Silne mówienie silniej się powtarza w telefonie niż słabe.

Naturalnie że praca ta tylko w pewnych granicach istnieje i zupełnie słusznie twierdzi później autor na str. 400, iż wielkość efektu w odbieraczu, nie zależy *w wysokim stopniu* od energji fali dźwiękowej, działającej na wysyłacz.

(Dok. nast.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Rozpoczęły się już u nas czasy poziomek, egzaminów, czereśni, świetnego pyłu ulicznego, duszących upałów a z niemi nieodłącznej letniej kanikuły. Objawów tej ostatniej przy zwykłych zajęciach Lwowian nie byłoby tak znać po mieście, gdyby temperaturę umysłową nie podnosiły o kilka stopni wyżej odbywające się wybory delegatów do Rady państwa. Oj gorąco też było bo gorąco dnia 30 czerwca, kiedy ze wszech stron oczekiwano telegramów o rezultacie głosowania z kurji małej własności. A skoro koło południa zaczęły nadchodzić wiadomości dla Polaków tryumfujące, rozbudził się taki ferwor w mieście, że nigdzie o niczem innem nie mówiono, jak o zwycięstwie nad świętojurskimi borytelami. Cała Rada ruska jeszcze do dziś dnia płacze, chociaż gdyby centralny komitet wyborczy był trochę taktowniej się uwinął, partja moskiewska, chyba tylko p. Bazylego Kowalskiego wysłałaby do Wiednia na model. A tak będziemy mieli trzech Rusinów, którzy jak się zdaje nie utworzą koła, a zatem nie posuną się do zrobienia secesji między sobą. Teraz idzie o to, aby te wszystkie zachody i tryumfy nie skończyły się na czczej sławie, jak to u nas bywało zawsze we zwyczaju, i abyśmy zasnąwszy na laurach, nie chcieli schować miecza do pochwy. Zwycięstwo ma swoje obowiązki, a przedewszystkiem szlachetne obejście się ze zwyciężonymi. Jeżeli naród ruski dał nam dowód swego zaufania, niechże więc ta wiara jego nie będzie zawiedzioną, a pamięć o sprawach tej narodowości niech leży na sercu wybrańców.

Jakkolwiek krakowskiemu Timesowi niepodobało się wszystko to co się u nas we Lwowie stało, jakkolwiek wszędzie widział on anarchję i rozprzężenie, my jednak konsekwentni jesteśmy nawet w tej anarchji, stawiając takich kandydatów jak Hausner i Wolski. Pokazuje się z tego, że daleko więcej jesteśmy konserwatywni niż ta szanowna partja sądzi, że istniejemy anarchją jak ongi przodkowie nasi, i że chcąc nie chcąc idziemy za radą „Czasu“ wybierając tych samych delegatów co dawniej. Więc czegoż oni chcą od nas? Tymczasem, o ile nas dochodzą wieści z Zachodu Galicji, krakowski komitet miał wiele niesubordynacji w swem łonie; bo członkowie jego korzystając ze swego uprzywilejowanego położenia, przy wyborach jak np. w Bochni za plecami urzędowych kandydatów, torowali drogę dla siebie i o ile wiemy z pomyślnym skutkiem.

* * *

Obok wyborów, którym nawet towarzyszyła we czwartek kanonada niebieska, najważniejsze miejsce w dziejach tygodnia tego zajmują doroczne egzamina różnych intytucji naukowych. Po wszystkich spacerach publicznych, po wszystkich zaułkach i ogródkach, widzieć można gorliwych studentów, czytających z niepowstrzymaną energją i żarliwością z kajetów. Professorowie pocą się od rana do nocy, młodzież truchleje ze strachu, a na ulicach coraz to częściej spotyka się młode panienki w niewinnych białych sukienkach zdążające na pensją do egzaminu.

Otóż jednym z takich publicznych popisów, który rzeczywiście uchodził już za uroczystość szerszego znaczenia, był akt dorocznego zamknięcia kursu w Instytucie naukowym p. Felicji z Wasilewskich Boberskiej. Któż we Lwowie od lat dwudziestu pięciu nie słyszał o tej zacnej matronie polskiej, pracującej energicznie i skutecznie na ciężkiej niwie edukacyjnej, pracującej piórem, słowem i czynem? Ztąd też gdy przyszło uczcić jubileusz tej użytecznej i szlachetnej pracy, zapełniły się salony naukowe instytutu, a wdzięczne uczennice sprawiły jej sercu niemałą radość urządzając ten obchód w tajemnicy. Przy tak trudnych warunkach istnienia prywatnych szkół naszych, zawód przełożonej pensji jest rzeczywiście ofiarą dla przekonań i obowiązków obywatelskich. Zdaje nam się, że jeszcze nikt u nas na tego rodzaju zakładach majątku nie zrobił, tembardziej przeto dwudziesto-pięcio letnia praca około wychowania dobrych Polek, żon, obywatelek i córek, godną jest publicznego uznania. Dlatego też należy się prawdziwa wdzięczność panu inspektorowi Baranowskiemu, że jako reprezentant władzy w mowie swej powiedzianej przy tej okoliczności, podniósł zasługę pani Boberskiej do wysokości zasług, którym oddanie czci publicznej należy do obowiązku.

Pani Boberska znaną jest jako autorka wybornej historji polskiej. Jeszcze w r. 1848 miewała ona bezpłatne wykłady historji i literatury polskiej we Lwowie. W roku 1853 otworzyła zakład wychowawczy dla panien, a w czerwcu roku bieżącego upłynęło lat dwadzieścia pięć, kiedy się odbył pierwszy egzamen w tym Instytucie. W okresie tego czasu mianowicie od r. 1863 do 1867 zakład z polecenia rządu był zamknięty, co tylko zaszczyt mu przynosi. Pani Boberska była zawsze i jest między polskiemi niewiastami pierwszą Polką, a że w tym kierunku przeważnie wpływała na młodociane umysł[illegible]nic, mamy najlepszy dowód że [illegible] zjednała sobie uznanie nietylko uczennic, ale i [illegible]łego kraj swój kochającego ogółu.

Są i bywają na świecie różne zasługi, lec[illegible] te któremi odznacza się zakład p. Boberskiej, musimy postawić na pierwszem miejscu. Z żon i matek naszych chcemy mieć przedewszystkiem Polki i obywatelki — reszta przy dobrych chęciach łatwo się znajdzie.

Egzamina wypadły świetnie. Publiczność słuchająca trafnych i gruntownie wypowiadanych odpowiedzi uczennic, mogła się łatwo przekonać, że uczą tam nie dla popisu, ale dla rzeczywistej korzyści z nauki, zachowując tę rozsądnę miarę między idącym nieraz za prędko postępem a tradycją, mającą za sobą miłość Boga i ojczyzny. Kobieta jako matka i pierwsza nauczycielka swych dzieci, jest ową rzeźbiarką co wykuwa żywot cały, jak powiedział Krasiński; jeżeli więc są różne rodzaje zasług jak powiedzieliśmy wyżej, to zasługa Instytutu wychowawczego panien musi mieć pierwszorzędne znaczenie. Tysiąc przeszło uczennic wyszło jako dobre matki, żony, obywatelki i ochmistrzynie z pod opiekuńczych skrzydeł tej zacnej niewiasty polskiej, jako szlachetny zasiew dla przyszłej sprawy narodowej. Cześć więc jej za tę uczciwą polską pracę — cześć i uszanowanie!

Panna Zofja Romanowiczówna dawna uczennica a obecnie nauczycielka w Zakładzie pa[illegible] Boberskiej przy stósownej, z serca płynącej pr[illegible]mowie złożyła jej album z fotografjami i bileta[illegible] licznych dawniejszych uczennic. Pani Stefa[illegible] Wexlerowa nauczycielka Seminarium przemówiła w równie serdecznych wyrazach do jubilatki i doręczyła adres nauczycieli i nauczycielek, którzy albo kiedybądź udzielali nauk w jej Zakładzie, albo przybyli dnia tego wziąć udział w uczczeniu jednej z najbardziej zasłużonych na polu pedagogicznem. Szanowna jubilatka, zupełnie nieświadoma tej uroczystości wzruszyła się do łez na takie oznaki wdzięczności i uznania, a otoczona wieńcem cisnących się do niej z życzeniami — doznała, sądzimy tej pociechy, jakiej mało kto w życiu doczekać się może, pociechy oglądania plonów uczciwej i serdecznej pracy, tudzież sumiennie spełnionego obowiązku!

Podając zatem do wiadomości, ten rzewn[illegible] i jedyny w swoim rodzaju obchód, powtórzym[illegible] to, na czem zakończył p. Inspektor Baranows[illegible] swą mowę: „ażeby niezachwiana i niestrudzon[illegible] stanęła w pełni sił i zdrowia u tego kresu, któr[illegible] nauczycielowi daje prawo do emerytury, a cho[illegible] praca na tem stanowisku nie daje człowiekow[illegible] emerytury w urzędowem znaczeniu tego wyraz[illegible] tedy zastępuje ją tutaj własne przeświadczen[illegible] spędzonego w usilnej zawodowej pracy żywota. Wolno mi jednak dodać drugie, żeby szanowna pani i wtedy jeszcze nie skazywała siebie na emeryturę.“

Z WYSTAWY SZTUK PIĘKNYCH.

Nowy gmach techniki z galanterją prawdziwie gentlemańską otworzył wrota swoje dla lwowskiej wystawy obrazów; wątpić jednak można, czy wystawa dobrze wyjdzie na tem, że przyjęła tę gościnność i tym sposobem znalazła się niemal za miastem. Dawniej, kiedy była w środku miasta, zachodzili czasem do niej ludzie, chroniąc się przed deszczem; dziś najmniejsza obawa deszczu może powstrzymać nawet takich, którzy mieli szczery zamiar jej zwiedzenia.

Ale jeżeli odległość działa odstraszająco, takie imiona jak: Rembrandt, Andrea del Sarto, Salvator Rosa, Makart, Siemiradzki, w które się nasza wystawa przystroiła, jak wieśniaczka w drogie kamienie, imiona takie nie mogą nie wywrzeć magnetycznego wpływu nawet na naszą niezbyt biegłą w malarstwie publiczność. Bardzo to w istocie dobry pomysł, na który wpadło towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, aby wydostać z prywatnych zbiorów dzieła dawniejszych mistrzów i dać je oglądać naszej publiczności wraz z najnowszymi płodami rodzimego malarstwa. To wprawdzie, co się na pierwszy raz dało zgromadzić, jest wielką okruszyną wobec zbiorów zagranicznych, jest mniej nawet niż okruszyną, dobre i to jednak na początek.

W tej kolonji obcych mistrzów, których udało się ściągnąć na naszą wystawę, pierwsze bez zaprzeczenia miejsce należy się Rembrandtowi, którego aż dwa portrety znajdują się w pierwszym, honorowym, jak się zdaje, kompartymencie wystawy. Portrety Rembrandta są rzadkością gdzieindziej, przynajmniej we Włoszech, Hiszpanji i Francji dają się zliczyć niemal na palcach jednej ręki, wystawa więc nasza może być słusznie dumną z tego, że posiada aż dwa portrety tego arcymistrza szkoły holenderskiej. Jeden portret przedstawia niemłodego już mężczyznę, stojącego przed pulpitem, na którym leży księga i trzymającego w ręku pióro. Twarz brzydka, płowa, szczególnie brzydkie oczy, niby rybie, a przecież te oczy właśnie zatrzymują przy sobie wzrok widza, na nie to bowiem rzucił Rembrandt garść światła, aby wywołać właściwy obrazom swoim efekt, to jest, aby wywołać duszę z obrazu. Z tych ócz bowiem przemawia głęboka równowaga wewnętrzna, która całą brzydotę twarzy uszlachetnia.

Naprzeciw portretu męskiego wisi portret kobiecy Rembrandta. Twarz młoda, pełna, matowej białości, z czarnemi, spokojnemi oczyma, które zacienia wraz z górną połową twarzy ogromny kapelusz w kształcie grzyba, najnowszej zapewne mody w swoim czasie. Światło tu pada na dosną część twarzy i koncentruje się koło pełnych, karminowych ustek, których słodycz i spokój doskonale harmonizuje z wyrazem oczu. Koloryt ciepły zupełnie różny od kolorytu męskiej twarzy. Oba te portrety pochodzą ze zbiorów XX. Sapiehów.

P. Ludwik Skrzyński użyczył wystawie krajobraz Salvatora Rosy. Jest to górski, dziki, skalisty parów, jakich niemało w Abruzzach, poszarpanemi skałami i zdrojem ciemnej, chłodnej wody u spodu. Ku tej wodzie po skalistych zygzakach zjeżdża jakiś jeździec z psem. Nad wodą w powietrzu, które się wydaje chłodnem i rzeźwiącem, bujają ptaki, wyżej jeszcze po ciemnoszafirowem niebie przesuwają się białe obłoki. Duszą krajobrazu jest tu woda cisnąca się w skalistych krawędziach, bez niej krajobraz byłby jeszcze dzikszym, przytem martwym i nieznośnym. Żeby ocenić piękność tego obrazu, potrzeba się weń dobrze wpatrzeć; na pierwszy rzut oka widok skał poszarpanych przypomina tak liczne krajobrazy drugorzędnych malarzy, silących się na przedstawianie wyszukanych widoków górskiej natury.

Oprócz Salvatora Rosy znajduje się na wystawie inny sławny przedstawiciel neapolitańskiej szkoły, Luca Giordano, przezwany *Luca, fa presto* (Łukasz, rób prędko), z powodu, iż tymi słowami ojciec jego naglił go ciągle do pospiechu. Nauka ojcowska nie poszła w las i Giordano odgrywa w malarstwie taką rolę, jaką Lope de Vega w poezji dramatycznej. Ale ta nadzwyczajna łatwość kompozycji i wykonania na mocy naturalnego prawa zawsze idzie w parze z brakiem głębokości w pomyśle i artystycznego wykończenia w szczegółach. To też Giordano majętny, sławny, wielbiony, poważany za życia, dziś w historji malarstwa jest znakomitością tylko z powodu swej niesłychanej łatwości wykonania, która mu pozwalała cały obraz w jednym dniu wykańczać. Jego Lukrecja, którą mamy na wystawie (także ze zbiorów p. Skrzyńskiego) przedstawia piękny tors kobiecy i nic więcej. Twarz dorobiona do tego torsu jest bez wyrazu, a przecież po twarzy a nie po torsie należałoby poznawać Lukrecją.

Ze zbiorów hr. Cabogowej dostał się na wystawę mały obrazek Andrea del Sarto, przedstawiający św. Rodzinę. Jest że to autentyk? Wierzmy w to, skoro o tem nie wątpi katalog wystawy. W każdym razie wyznać nie zawadzi, że madonna na tym obrazku nie odznacza się bynajmniej tą gracją i szlachetnością linji, jakie są właściwe madonnom florentyńskiego mistrza *senza errori*. Z mniej słynnych przedstawicieli dawniejszego włoskiego malarstwa znajdują się tu: Sassoferrato, (dwie Madonny) i Cerquozzi, (dwa obrazy bitew: bitwa pod Chocimem 1621 i bitwa Wenecjan z Turkami pod Madonem). Jedna z madon Sassoferrata i oba obrazy Cerquozziego pochodzą ze zbiorów p. Ottona Hausnera.

(C. d. n.)

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

Za miesiąc czerwiec.

— *Biernacki Mikołaj* (M. Rodoć). Piosnki i satyry. str. 241. Warszawa 1879. zł. 1·70.

— *Biliński L.* System ekonomji społecznej. Wydanie drugie, tom I., zeszyt I., 8ka, str. 240. Lwów 1879. Przedpłata za komplet zł. 6·50.

— *Bobrzyński M.* W imię prawdy dziejowej. Rzecz o zadaniu historji i dzisiejszem jej stanowisku. Z powodu głosów dziennikarskich o swojej książce „Dzieje Polski w zarysie". 8ka, str. 40. Warszawa 1879. ct. 30.

— *Feliński Alojzy.* Barbara Radziwiłówna, tragedja w 5 aktach, wierszem. Bibljoteka Mrówki tomik 77. 16ka, str. 94. Lwów 1879. ct. 20.

— *Gindely prof. dr. Ant.* Dzieje powszechne dla wyższych klas szkół średnich według czwartego wydania przełożył M. Markiewicz. 8ka str. 345. Rzeszów 1879. zł. 2.

— *Hofman Fr.* Praca a złoto. Opowiadanie dla młodych moich przyjaciół, przełożył Stanisław Kunasiewicz z czterma rycinami. 8ka str. 119. Brody 1879. ct. 50.

— *Kalicki B.* Najnowsze sądy o Karolu Szajnosze z powodu książki Dzieje Polski w zarysie przez Michała Bobrzyńskiego. Warszawa, Kraków 1879. 8ka str. 33. Lwów 1879. ct. 30.

— *Krasicki Ignacy.* Wojna chocimska (Bibl Mrówki tomik 78) 16 92. Lwów 1877 ct. 20.

— *Kraszewski J. I.* Dajmon fantazja 8ka str. 200. Lwów 1879 zł. 2·20.

— *Książeczka kieszonkowa* do nabożeństwa dla wszystkich stanów tak mężczyzn jak i kobiet i młodzieży 16ka. str. 179. Kraków 1879 ct. 60.

— *Liske X.* Dzieje polskie prof. Bobrzyńskiego, ocenione 8ka str. 51. Kraków 1879 ct. 50.

— *Łaszczyński Dr. Wl.* O nawozach sztucznych 8ka, str. 20. Poznań 1879 ct. 45.

— *Merunowicz Teofil* Żydzi. Studium społeczne ... 222. Lwów 1879 Nakład księgarni Polsk...

— *Nieomylny sposób* wyjścia za mąż ku zbudowaniu młodzieży płci obojga napisany przez Adama Kieł i Feliksa Kolbe 8ka. str. 88. Warszawa 1879 ct. 40.

— *Niewęgłowski.* Algebra. Część pisemna zawierająca algebrę elementarną 8ka, str. 896. Paryż 1879 zł·20.

— *Onufrego z bajek.* Poezje spisał Leszek Sz. 2 tomy w jednym 8ka, str. 131. Lwów 1879 źł. 160.

— *Prawdomowski* Bronisław. Córka Neptuna i Olbrzym północy, oraz inne drobne. 8ka str. 36. Kraków 1879. 50 ct.

— *Rapacki W.* Acernus (Fabian Klonowicz) Dramat w czterech aktach z prologiem. 8ka str. 134. Warszawa 1879. 1·25 ct.

— *Reppel Ryszard* Dzieje Polski do XIV wieku przełożył Dr K. Przyborowski, 2 tomy (Bibljoteki historycznej tom 25, 26) 8ka str. 446, 265. Lwów 1879. 6 zlr.

— *Sabowski i Nowolecki.* Pół wieku pracy. Rys życia i zasług J I. Kraszewskiego z powodu piędziesiątej rocznicy Jego działalności z portretem Jubilata. 8ka str. 78. Kraków 1879 50 ct.

Wydanie drugie poprawione i pomnożone 1·25 ct.

— *Śpiewnik polski,* zeszyt 9. 10. 11. 16ka str. 96. Lwów 1879. Nakład Księgarni Polskiej. (Bibl. Mrówki tomik porządkowy 69. 70 71.) zeszyt po 20 ct.

Na welinowym papierze 30 ct.

— *Trzy myśli* Polski i Rosji. 8ka, str. 35. Kraków 1879. ct. 30.

— *Wiśniowski S.* Światełka w ciemnym kraju. Nowella. 8ka str. 124. Warszawa 1879. zł. 1.

— *Zoeller X. Karol.* Główne prawdy wychowania. Z najlepszych dzieł pedagogicznych 8ka. str. Brody 1879 ct. 60.

— *Żywot najświętszej* Panny Marji niepokalanej Boga Rodzicy z różnych autorów dla ludu miejskiego i wiejskiego zebrany przez niegodnego sługę Marji 8ka, str. 80 Warszawa 1879 ct. 20.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** W Tarnopolu, z dniem 26. czerwca r. b. zaczęło wychodzić nowe czasopismo pt. *Świt,* poświęcone belletrystyce, sztuce, sprawom ekonomicznym, handlowym i społecznym. *Świt* wychodzić będzie co czwartek, z dodatkiem raz na dwa tygodnie osobnego przeglądu politycznego w formacie książkowej 8ki. Jako wydawca i redaktor odpowiedzialny podpisany jest p. Michał Landau. Prenumerata roczna kosztuje zł. 6 ct. 50, półroczna zł. 3 ct. 50.

*** W Brodach, nakładem i drukiem J. Rosenheima wyszła broszura pt. *Główne prawdy Wychowania,* napisana według najlepszych dzieł pedagogicznych przez X. Karola Zoellera. dr. św. teol.

*** Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu Warszawskiego ogłosił już na rok 1880 tematy do rozpraw na medale. Są one następujące: 1. Z filologii klasycznej: „Teognides i jego dzieła." 2. Z historji powszechnej: "Cesarz Tyberjusz." 3. Z filozofji: „Porównanie krytyczne Locka i Leibnitza, ze względu na ich teorje o ideach."

*** W Paryżu 25. czerwca, odbyło się roczne posiedzenie publiczne akademji umiejętności moralnych i politycznych. Przewodniczył Vacherot, który otworzył posiedzenie przemową uwiadamiającą zgromadzenie o przyznanych nagrodach. Nagrody otrzymali: w sekcji filozofji: Mabilleau 1500 fr.; w sekcji moralnej: Maillet 150 fr.; w sekcji prawnej: Saint-Girons 1500 fr. Wzmianki honorowe przyznano: Berge, Ferron i Furez. W sekcji ekonomji politycznej otrzymali nagrody: Lamane 3000 fr. i Foville 1000 fr. Oprócz powyższych nagrodzeni też: Siegfried i Laudelle po 1000 fr.; Touzaud 2000 fr.; Mardquerin 1500 fr.; oraz Jourdan.

*** Senat uniwersytetu oxfordzkiego mianował Turgenjewa honorowym doktorem prawa.

*** Doktor Proust, lekarz szpitala Lariboisière w Paryżu wybrany został członkiem akademji w miejsce zmarłego doktora Tardieu.

*** Kamil Flammarion, sławny autor *Pluralitè des mondes habités* (Wielkość światów zamieszkałych) napisał nowe dzieło „Astronomja popularna“ (*Astronomie populaire*), które wychodzić zaczęło w małych arkuszowych zeszytach po 8 stronnic obszernego druku *in quarto* zawierających.

Wydawnictwo to przyozdobione jest pięknemi illustracjami.

Zeszyt kosztuje *10 centimów*, tj. *niecałe 3 centy!* a serja 5 zeszytow — poł franka!!

Zeszyt pierwszy, który mamy przed sobą, rozpoczyna Flammarion wprost rozdziałem „Ziemia na niebie,“ który jest niejako przedmową do całego dzieła.

Autor przypomina sławne niegdyś dzieło pod tym samym tytułem napisane przez Franciszka Arago — i z wysoką skromnością wyraża obawę swoją, czy nowa jego praca będzie mogła znaleźć uznanie w obec dzieła pierwszego popularyzatora astronomji.

„Ale — mówi dalej Flammarion — nieodżałowanej pamięci Arago umarł w 1853 r., minęło więc już od owej chwili przeszło ćwierć wieku, a to ćwierć wieku płodne było w tak znaczną ilość odkryć i wynalazków, które sprowadziły niezwykły postęp tej nauki; dawniej wieki całe tyle nowego w tym względzie nie wykazały, ile ostatnie lat 20.“

Taniość wydawnictwa, jego ozdobność, a głównie imię Flammariona wróżą dziełu temu wielkie powodzenie — i spodziewać się należy, że i inne literatury przyswoić je sobie zechcą.

*** *Gazeta sądowa* pomieściła sprawozdanie o ważnem dziele dra Leona Bilińskiego „System nauki skarbowej a w szczególności nauki o podatkach“ (str. 481).

Książka wyszła *jeszcze w roku 1876* we Lwowie, a artykuł *Gazety sądowej*, lubo bardzo pobieżnie skreślony, jest podobno pierwszem u nas obszerniejszem o niej wspomnieniem!...

*** *Dziennik warszawski* daje swym czytelnikom w przekładzie rossyjskim znakomity utwór J. I. Kraszewskiego: „Ostatnie chwile księcia wojewody“.

*** W Dobrzycy, w W. Ks. Poznańskiem, dawnej własności Turnów, rozpoczęła się licytacja galerji obrazów i starożytności: portret Stan. Augusta, pędzla Bacciarelego kupił hr. Działyński.

*** „Grunwald“ Matejki wystawiony został od tygodnia w Berlinie.

*** P. Gracjan Unger w Warszawie zamierza założyć salon artystyczny na wzór znanych paryskich zakładów Goupila.

W tym celu pan U. zbiera cenną kolekcję najnowszych płócien artystów naszych.

*** Gierymski osiedlił się na czas dłuższy w Warszawie.

*** Na wystawie w pałacu brühlowskim w Warszawie zwraca ogólną uwagę biust z *terracoty* Adama Pługa (p. Ant. Pietkiewicza), rzeźbiony śmiałem dłutem p. K. Ostrowskiego.

Tegoż artysty pomnik dla dra Girsztowta ukazał się w fotograficznej reprodukcji.

*** Wpadł nam w tych dniach w ręce karton pana Władysława Szymanowskiego, ofiarowany w upominku koleżeńskim, artyście dramatycznemu O.

Jestto rzecz wykonana z niezwykłym humorem, z prawdziwie artystycznem zacięciem.

*** W hotelu Lambert w Paryżu urządzono wielki koncert na korzyść seminarjum w Rzymie, który przyniósł 10.000 dochodu; odegrano „Trio“ Szopena, przez ks. Czartoryską pp. Szanzay i Franchomme.

*** Ludwik Grosman napisał dla Kraszewskiego parafrazę na temata polskie, której główny motyw jest ulubionym mistrzowi „Starej baśni“.

Ci, co mieli sposobność słyszeć kompozycję tę po raz pierwszy w egzekucji orkiestry p. Mannsfelda w Warszawie, utrzymują, że rzecz to wysoce artystyczna, o świetnej iście instrumentacji.

*** Siemiradzki — jak mówią — przywiózł z Rzymu nowy obraz, którego przedmiotem ma być jedna z chwil.. świętojańskiej nocy!

Wiadomości społeczne.

*** Londyńska Royal Academy mianowała trzech nowych członków: jednego zwyczajnego (akademician) i dwóch asseciates. Wybory padły na samych cudzoziemców. Akademikiem wybrano Niderlandczyka Almę Tadama, zaś godność associates otrzymali: Amerykanin Boughton i Austrjak Herkomer.

*** Polacy akademicy wszechnicy Wyrcburgskiej, odnowili 8 maja istniejące tam dawniej „Towarzystwo Naukowe Polaków katolików (!) w Wyrcburgu.“

*** Stowarzyszenie bratniej pomocy Polaków w Budapeszcie ma majątku 1332,83 złr.

*** Z dniem 1 października r. b. sędziowie pruscy, na wzór angielskich, używać mają togi jako stroju urzędowego przy rozprawach publicznych.

*** *Daily News*, z okazji zebrania się kongresu telegraficznego, wykazuje ogrom kosztów, ponoszonych przez dzienniki za przesyłkę telegramów. Dziennik ten, jako przykład, przytacza dzień 6 maja, w którym otrzymał od swych korespondentów w południowej Afryce o sprawach Zululandu 2123 wyrazów. Telegramy te zostały przesłane za pośrednictwem Towarzystwa brazylijskiego drogą z Saint-Vicent do Londynu. Koszt przesłania tych telegramów wyniósł 10.615 franków.

*** W Herford pomiędzy magistratem a radą miejską ciekawy bardzo wynikł spór. Miasto poleciło wykonanie w Berlinie pomnika dla poległych żołnierzy, lecz teraz gdy pomnik już został wykończony, oba ciała rządzące nie mogą się zgodzić na to gdzie go ustawić. Posąg więc pozostaje w Berlinie.

*** Z Serajewa donoszą telegraficznie, iż Hadżi Loja, w części już wyleczony, lecz chodzący o kuli, umknął w nocy ze szpitala, spuściwszy się z okna po prześcieradle. Rano dopiero straże spostrzegły ucieczkę Loji. Wysłano natychmiast w różne strony patrole konne, które wkrótce odnalazły zbiega. W południe przyprowadzono go do miasta i osadzono w więzieniu.

*** W Paryżu z polecenia policji zdjęto z kjosków i sklepów rycin," karykatury odnoszące się do wyprawy Ludwika Napoleona do Afryki.

*** W Berlinie w dniach 28 do 31 lipca odbywać się będą w gmachu poselskim posiedzenia kongresu nauczycieli zakładów dla ociemniałych.

*** 24-go czerwca poświęcono uroczyście kostnicę poległych pod Custozzą. Napływ publiczności na uroczystość wielki. Pomnik składa się z obelisku marmurowego 120 stóp wysokiego, pod którym złożono kości 1984 poległych, częścią austrjackich, częścią włoskich wojowników. Kostnica ozdobiona jest austrjackiemi i włoskiemi barwami.

*** W Lyonie ogólna zmowa tkaczy. Robotnicy porzucili warstaty. Fabryki zamknięto chwilowo. Robią się starania, by rychło zmowę tę ukończyć.

*** W Londynie skonstatowano w ostatnich czasach wzmagające się używanie opjum. Szczególniej klasa niższa ma używać tego narkotyku. Pochodzi to ztąd podobno, iż opjum jest tańsze od płynów alkoholicznych.

*** Na wniosek komisji specjalnej, na cmentarzu Pére-Lachais w Paryżu stanie t. z. columbarjum, to jest piec do palenia zwłok. Obok staną grobowce do przechowywania urn z popiołami zmarłych. Komisja wyraziła zdanie, iż należy pozostawić każdemu możność w zarządzaniu sobie pogrzebu, czy to przez spalenie zwłok, czy przez pochowanie ich w ziemi.

*** W Londynie wobec interesowanych osób otwarto testament zmarłego niedawno barona Lionela Rotszylda. Zmarły pozostawił około 70 miljonów franków majątku. Wykonawcami ostatniej woli ustanowił Rotszyld dwóch swoich synów. Żonie przeznaczył 2 i pół miljony franków, rezydencję w Piccadilly, posiadłość w Gunnerbury i rentę dożywotnią w sumie 1,250,000 franków. Na instytucje dobroczynne ofiarował nieboszczyk bardzo znaczną sumę.

*** W Filadelfji zmarł miljoner Asa Packer. Majątek pozostały obliczają na 80 — 100 milionów franków. Asa Packer w młodości był cieślą. Jego to kosztem i staraniem założony został w Lenigh uniwersytet, któremu ofiarował pięć miljonów franków.

*** W Nowym Yorku wyśledzono i przytrzymano sprawców kradzieży trzech miljonów dolarów, popełnionej w roku przeszłym w Manhattan-Savings-bank; jeden z dozorców banku, który był wspólnikiem kradzieży, wykrył sprawców, powodowany zemstą, iż mu nie wypłacono jego udziału.

ROZMAITOŚCI.

Katastrofa powietrzna pod Myszkowem.

Dobrogoszczyce d. 18. czerwca 1879.

W sobotę dnia 14 czerwca r. b., około godziny 2-giej z południa, przeleciała nad głowami naszemi złowieszcza szaro-miedzianych barw chmura, która najprzód sypnęła nam w oczy gradem, dochodzącym wielkości laskowego orzecha; potem ryknęła tysiącem grzmotów, a nareszcie jakby pękła nagle, wylała na pola nasze strugi deszczu, który nie padał, ale literalnie wylewał się potokami z zagniewanego nieba; miejscami nie trwała ta ulewa dłużej nad kilka minut, miejscami do kwadransa — a jednak w okamgnieniu stanęły wszystkie niżej położone miejscowości pod wodą, a na wyższych ukazały się nagle spienione wód strumienie, które szalonym pędem toczyły się w doliny.

Gdyby serce nie bolało wówczas na myśl, że z potokami temi płynie gdzieś do rzek i mórz i chleb powszedni i łzy wielu ubogich rodzin — to zaiste rozkoszowaćby się można było majestatyczną pięknością widoków, jakie się objawiły zaraz po ustaniu ulewy. Najsztuczniej pourządzane fontanny i wodospady, po cesarskich około Wiednia i Paryża ogrodach, maleją do rozmiarów dziecięcej zabawki, wobec tego strasznego przyrody dzieła, jakie przedstawiło się oczom naszym po przejściu burzy, po przegnaniu chmur, po wyjrzeniu strwożonego słońca z poza tych opon czarnych, które tyle narobiły n[illegible] biedy. Na milę i dwie, jak oko daleko z wynios[illegible] miejsc zasięgnie, dostrzegałeś na czarnem lasów i zielonem posiewów tle, tysiące jasnych bałwaniących się strumieni, które rosnąc i pęczniejąc coraz, z szumem i łoskotem nieopisanym, staczały się kaskadami srebrnemi z wzgórz wysokich, na dolinne łąki i pola.

Gdzie był jaki wąwóz stary, czy droga ujeżdżona, czy najmniejszy ziemi załamek, korzystały zeń te potoki — gdzie ich nie było, tam pruła sobie woda w równinie drogi nowe, niekiedy do dwóch sążni głębokie, a wszersz na sążni kilkanaście A niechże natrafiła gdzie, w pędzie niepowstrzymanym na zawadę silniejszą, czy to wał jaki naturalny, czy groblę ręką ludzką sypaną: to bałwan zapieniony, wysoki jak dom, wypiętrzył się na chwilę nad tą zaporą, i runął na drugą stronę, pędzony postępującą za nim falą — ależ i zapora owa silna rozpłynęła się w tym uścisku serdecznym i w tym upadku strasznego bałwana. Oczywiście że żadna grobla, żaden most, żaden młyn, w kilkomilowej okolicy całej, nie wytrzymał silnego tego natarcia.

Pale kafarem wbite, powyrywane tą wodą belki i pokłady mostowe, wozy, ule, sprzęty różne, chlewiki całe, a nawet nierogate mieszkańce chlewków tych, gdzieniegdzie nawet krowy i konie zaskoczone na pastwisku — wszystko to płynęło z powodzią oną, przez stawy, łąki i nizinne między wzgórzami pola.

To szczęście jeszcze, że katastrofa nastąpiła wkrótce po południu, gdy bydło wszystko było w oborach; bo żeby tak o dwie godziny wcześniej lub o godzinę później, to setki pastuszków włościańskich i setki pilnowanego przez nich dobytku, byłyby śmierć znalazły w tych nurtach rozszalałych improwizowanych rzek.

Przez kilka godzin nie mogłem oczu oderwać od strasznego tego widoku, który przykuwał widza niesłychaną grozą i pięknością zarazem, a równocześnie przygniatał umysł jego ogromem objawionej potęgi i siły. O oglądaniu szkód w polu zrządzonych mowy nawet tego dnia być nie mogło: raz że wrażenie chwili zbyt było silnem, by je prozą taką godziło się zacierać—a powtóre że komunikacja wszelka między jednym a drugim folwarkiem, ba nawet między jednym a drugim zboża łanem, literalnie była przerwana. Pomiędzy wsiami dotąd komunikacji kołowej nie ma, i wątpię by przed upływem kilku tygodni wszędzie przywróconą być mogła.

Nazajutrz więc dopiero, oglądałem żyta swoje popotrącane gradem, trawy, owsy i grochy poprzymulane, i parowy powydzierane wśród pól — a potem jakby dla ulgi strapionemu sercu, puściłem się w objazd po sąsiadach, zobaczyć jakie też oni podnieśli straty; na koniu oczywiście, bo o przejechaniu bryczką myśleć nawet niepodobna było.

O dziwna naturo ludzka! Jak wytłómaczyć psychologiczne to zjawisko, że czy to cierpieć fizycznie czy moralnie, czy stratę jaką ponieść, to lżej zawsze człeku znieść dopust boży w kompanji — a widok większego nieszczęścia cudzego odejmuje naszemu doznanemu przed chwilą, ciężaru połowę, i koi własne zmartwienie lub żal.. W dniu wczorajszym doświadczyłem tego na sobie: markotny poniesioną stratą, rozżalony i chmurny wyjeżdżałem z wrót mojego obejścia — a jakże gorąco dziękowałem Bogu w dwa dni później za to, że tak tylko leciuchno mnie dotknął — jak nie nad swoją już własną, lecz nad tylu innych ludzi stratą bolałem, w dwa dni później do domu wracając — po obejrzeniu tego co tam u nich się działo! Bo nie poprzestałem na odwiedzeniu jednego i drugiego sąsiada. Już sam widok wczorajszy ogromu i gwałtowności płynących przez pole wód domyślać się kazał szerokich rozmiarów górskiej powodzi i olbrzymiości poczynionych szkód. Do tego jeszcze głuche wieści z ust do ust podawane, czasem aż nieprawdopodobnie brzmiące, rozciekawiły mnie tem więcej. Dla zaspokojenia więc ciekawości własnej, i dla możności przesłania wam rzetelnego sprawozdania z naszego smutnego zakącia, postanowiłem naocznie obejrzeć skutki wczorajszego zalewu.

Siadłem znów na konia—i rzemiennym dyszlem, od wsi do wsi zbaczając, objechałem półkole północno-zachodnie od siebie, o promieniu 3—4 mil.

Po tem com w domu widział, pojęcia nie miałem wcale, żeby mogła była klęska owa tak olbrzymie przybrać rozmiary i zrządzić tyle niepowetowanych szkód, jakie w tych biednych zalanych wioskach znalazłem; niektóre z nich wybił grad, niektóre ucierpiały tylko od polewy gwałtownej — ale i te i tamte straty są niczem w porównaniu ze szkodami, jakie zrządziły wody …ynące w miejscowościach niższych i spadkowych, ta… nawet, gdzie ani gradu ani deszczu ulewnego nie [illegible].

Ulewa, o ile z opowiadań niezbyt zresztą zgodnych wymiarkować mogłem, uderzyła równocześnie prawie na przestrzeni kilkunastu mil kwadratowych między Kromołowem, Siewierzem, Koziegłowami, Olsztynem, Przyrowem i Lelowem. Czy wyżej na północ, ku Częstochowie lub Radomsku posunęła się, nie wiadomo mi dotąd. Ale od wschodniej strony, linja. Kroczyce, Dobrogoszczyce, Lelów i Koniecpol była niejako jej granicą. Na dwóch przeciwnych tej granicy krańcach, straty rolnicze były równie straszne, choć różne: o Rudnikach (pod Zawierciem) opowiadają, że woda zniosła prawie na całym majątku rodzajną ziemi warstwę, w Mełchowie zaś (między Lelowem a Koniecpolem) zbił grad zboża dworskie do tego stopnia, że z bardzo pięknych ozimin ocalał zaledwie co dziesiąty kłos. Jęczmień, łubin, groch, miejscami literalnie w ziemię zostały wbite, ziemniaki pokryte twardą skorupą naniesionego mułu i piasku, a żyta wyłamane na niektórych polach w pień i przytłoczone do ziemi tak, że nawet na paszę wykosićby je trudno. W Podlesiu, majątku sąsiadującym z Mełchowem, widziałem z dużego łanu żyta, tylko kilkunastomorgowy pas wytłoczony kompletnie gradem, a za tym pasem długa linja, prosta jak strzał, rozgranicza żyto zdrowe ścianą stojące, od powalonego zbitego.

Tak wielkiej szkody jak w Mełchowie, nie zrządził grad w żadnej z tych wsi, które objechałem wczoraj. Strata prawda ogromna, której ani jeden, ani parę nawet urodzajnych lat następnych, wynagrodzić nie będzie w stanie. Ale maleją i te straty jeszcze wobec szkody doznanej gdzieindziej od potoków płynących, której ani lata następne, ani kredyt chwilowy, ani całożyciowa praca rolnika naprawić już nie zdoła. Tu grad zniszczył jednoroczny procent od kapitału reprezentowanego przez ziemię — tam zabrała woda nietylko procent, ale i kapitał sam!

We wsi Trzebniowie (między Żarkami a Janowem) łąkę dworską na bardzo znacznej przestrzeni i o bujnym trawy poroście, widziałem naniesioną piaskiem drobnym miejscami na łokieć grubo. Wiele lat przejdzie pewnie, zanim właściciel te ławice piaskowe uprzątnąć, lub je do jakiejkolwiek kultury doprowadzić potrafi. Większe atoli od niego straty w ziemi ponieśli włościanie tej wsi—bo z niektórych pól zdarła rozhukana woda całą warstwę rodzajną, tak, że nagi kamień biały świeci dziś trupią bladością, w miejscu żywej wczorajszej zieleni— indziej podobnie jak na łące dworskiej, spotykałem zboża przywalone grubemi ławami piasku i kamieni olbrzymich; ławami tak grubemi, że życie człeka nie starczy na uprzątnienie ich — a jeszcze indziej, środkiem pomiędzy bujne grochy, żyta, ziemniaki i kapusty, powyrywane głębokie jary, które jako świadki minionej klęski, zostaną już nieużytkami na wieki. Mierzyłem niektore z tych parowów, wyrwanych wodą na gładkiej jeszcze wczoraj powierzchni: rozmaita szerokość ich wynosi od 3 do 10 sążni, głębokość od 4 do 12 stóp. Choćby chciano je kiedy orać, zboże nie utrzyma się, bo raz już zrobione, pogłębiać coraz, wymywać i obrywać nie omieszka każdy cokolwiek silniejszy deszcz: po każdym deszczu woda z gór pędzić już będzie temi szlakami; z biegiem lat wąwozy takie rosną coraz, posuwają się stale ku górze, podrywając po każdej ulewie grunt nad sobą leżący — póki gdzieś nie oprą się o skały twarde, lub o gęsto zadrzewiony las...

Póki się nie oprą „o skały" — powiedziałem. Może to powiedzenie i słuszne, gdy mowa o latach zwyczajnych i o zwyczajnych deszczach. Ale nie na ten rok, nie na tegoroczne polewy! Ubiegłej soboty źle zdały *skały* egzamin z twardości swojej i mocy oporu, jaki zdolne są przeciwstawić silnemu wód naparciu. Już nie mówię, że po polach Trzebniowa, Gorzkowa i Bystrzanowic widziałem oderwane ogromne skał odłamy, przytoczone z odległych bardzo miejsc — ale w Potoku, w tym Złotym Potoku, będącym co roku celem wycieczek wielu turystów i lubowników piękności natury — u tych źródeł prześlicznych Elżbiety i Zygmunta, tak czarownie wybijających się ze skał—cóż za spustoszenie i zniszczenie znalazłem! War wody nadbiegłej nagle do tych źródeł rozparł i rozkruszył sędziwe skały one, co przez lat tyle z macierzyńską miłością otulały niby powijakiem białym, młodą rodzącą się tu rzekę. Dziś ni śladu tych skał majestatycznych, po których spinaliśmy się nieraz do źródeł tych uroczych, na których odpocząć musiał wędrowiec każdy, co o Potok złoty zawadził, by orzeźwić się chłodem bijącej z pod ich stóp wody, i napaść oczy czarującym, istnie szwajcarskim widokiem. Dziś kilka niekształtnych głazu obrywów zaległo w miejscu dawnych litych skał, a kupa zmiażdżonego gruzu, rozrzucona daleko z biegiem wód, świadczy o sile niszczącej rozhukanego żywiołu i o bezsilności opoki, którą geologowie „białą Jurą" przezwali.

Ani śladu też nie zostało przy tych źródłach cembrowań, ni ławek, ni mostków, ni upiększeń, jakiemi corocznie administracja dóbr Potoka, w pomoc przychodząc naturze, uprzyjemniała zwiedzającym to miejsce. Wszystko to, wraz z mnóstwem innych rzeczy, popłynęło gdzieś szczęśliwie przez Janów, Przyrów, Dąbek, do Warty... A co tam tych rzeczy płynęło różnych z Potoka? ile drzewa rozmaitego, a ile ryb rozmaitych? popytajcie chłopków, zamieszkujących dwa wymienione miasteczka. Nie wszystkiemu oni do Warty pozwolili dopłynąć. Nie było jednego człeka biednego na tej drodze wodnej i po okolicy szerszej, coby do syta nie najadł się pstrągów, w tych paru nieszczęśliwych dniach. Bo woda od źródeł uderzyła tak gwałtownie na stawy poniżej leżące, że rozrywała je jeden po drugim i rozerwała ich *siedm*, wraz z młynami trzema: tylko staw jeden, ósmy, pod Zalesicami, cudem jakimś ocalał.

W stawach tych wszystkich z dawien dawna hodowano z pieczołowitością wielką szlachetne ryb gatunki; w kilku zaś tych, co najbliższe były zimnych źródeł onych, zaprowadził był jeszcze jenerał hr. Wincenty Krasiński pstrągi. Wnuczka jego, a obecna właścicielka Potoka, szanowała tę po dziadku spuściznę z troskliwością niesłychaną: rzadko kiedy łowić z nich pozwoliła cokolwiek, sprzedawać wcale już było wzbronione. A dziś?... Rozniosła je woda po polach i łąkach okolicznych, żydzi przetakami łowili je w ulicach miasteczka Janowa, a chłopi kijami zabijali w bruzdach swoich ogrodów i przejeść tego nie mogli, co nagrabili po opadzie wód. Słyszałem, że i administracja tychże dóbr zarządzila także łowienie tych mimowolnych zbiegów, i uratować zdołała kilka korcy onych, na rozpłodek do dalszej bogdaj szczęśliwszej hodowli — ale ani nieprawym łowom przeszkodzić, ani rąk dużo na łowy swoje oderwać nie była w możności, mając zbyt wiele do czynienia z naprawianiem mnóstwa innych szkód w tym majątku zrządzonych.

Woda szalała tam w dziedzińcu gospodarskim i w ogrodzie pałacowym na parę łokci wysoko. Ogród prześliczny, w zeszłym dopiero roku, kosztem jak mówią około 10,000 rubli nowo założony, widziałem teraz zamulony, poszarpany, wyłamany. Ani śladu klombów ni ścieżek niedawno przez kosztownego Niemca wytyczonych; ani śladu drzew rozlicznych z obczyzny posprowadzanych; w miejscu, gdzie inspekta, dziś ławica piasku i skorupa popękana namułu. Most murowany przy ogrodzie rozerwany w gruzy. groble poszarpane w kawałki, stawidła i szluzy poniesione Bóg wie gdzie; młyny pozrywane; drzew w lesie mnóstwo powywracanych z korzeniem, a jeszcze więcej sągów i materjałowego drzewa, wyniesionych przez wodę z lasu, na pastwę czyhającej na zdobycz młodszej naszej braci...

Oto straty w tym jednym majątku, które na kilkadziesiąt tysięcy rubli obliczają ludzie.

W polach ornych, po Trzebniowie, najwięcej ucierpiały od wody wsie: Niegowa, Gorzków, Mzurów, Postaszowice, Bystrzanowice — w łąkach zaś oprócz powyższych poniosły znaczne szkody wsie poniżej od tamtych leżące: Chrząstów, Wąsosze, Drochlin, Biała, Lgota błotna, Dąbrowno i Lgota gawronna. W tej ostatniej zerwała woda most nowy, z którego pale wbijane i belki dębowe nie oparły się aż pod Staromieściem; woda szła z gwałtownością niesłychaną, niby rzeka wzburzona całą szerokością łąk, a sążniową blisko głębiną. Przyniosły też prądy tych wód na łąki tutejsze mnóstwo drzewa z Dąbrowna, chlewiki, ule, wóz kuty i wiele różnych gospodarskich sprzętów, które niewiadomo jeszcze z jak daleka przywędrowały tutaj.

W wielu miejscowościach woda weszła do mieszkań ludzkich, tu i owdzie porozwalała nawet chaty. W Gorzkowie wstąpiła nawet do dworu i zostawiła we wszystkich pokojach na parę cali grubą warstwę mułu. W Trzebniowie zalała stajnie dworskie. W kolonji Teodorów potopiły się owce w oborze, indziej gdzieś potopiły się krowy, a nawet mówią że i ludzi kilkoro życiem przypłaciło tę zlewę. W mieście Żarkach ulice i uliczki zamieniły się w rzeki, a na obszernym rynku dotąd stoją kałuże głębokie i leży gruba namułu przyniesionego warstwa. Pod Jaworznikiem pięć młynów zebranych, kuźnia zniesiona i grobla murowana na szosie przepruta na poprzek szeroko wydsrtym parowem. Pomiędzy Myszkowem a Zawierciem pięć mostów kolei żelaźnej rozsypało się w gruzy, a pociąg pośpieszny podobno pokutuje tam dotąd pomiędzy przepaściami dwiema... Ależ o tem wiecie już pewnie, boć tam przecie cywilizowany świat, koleje i telegrafy na usługi, tylko my tu na uboczy, po dawnemu jeszcze, bez kulbaki i bez konia obejść się nie możemy.

Z ocalałych tu i owdzie resztek wnioskując, piękne urodzaje mieliście tego roku — zagadnęłam włościanina w Trzebniowie. „Oj było panie, było — odrzekł smutno staruszek — dał pan Jezus dał, ale pokazał tylko i odebrał zaraz, może za karę, za grzechy naszego żywota". Miło mi było usłyszeć te wyrazy, malujące rezygnację i niewygasłą jeszcze do szczętu religijność u naszego ludu.

Włościanie najbardziej dotkniętych wsi mają nadzieję, że rząd podatki roczne im daruje — w każdym razie godziłoby się żeby się zajęto sprawdzeniem ile ziemi chlebnej ubyło tym biednym ludziom, bo ilość nieużytków, nie podlegających opodatkowaniu, powiększyła się tam dzisiaj o wiele.

Kazimierz Langie.

Treść Nr. 23.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.